Nr. 154. Lwów — Sobota dnia 8 Lipca. Rok 1893

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

Cena prenumeraty we Lwowie:
Bez dostawy miesięcznie 75 ct.
Z dostawą do domu 1 złr.

Prenumeratę miejscową przyjmują:
Biuro dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.
Trafika przy ul. Karola Ludwika l. 5.
„ J. Ważnego przy ul. Czarnieckiego l. 3.
„ przy ul. Słowackiego (obok fas. Dudy)
„ Niemojowskiego ul. Jagiellońska l. 6.
„ Niżałowskiego Hotel Żorża.
Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.
Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi:
Miesięczna złr. 1.10 | Półroczna złr. 6
Kwartalna „ 3 | Roczna „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENA OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 20 ct.
Reklamy . . . . 25 „
Nekrologi . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika Nr. 9

Dziś:	św. Elżbiety Kr.	Dawyda Ftes.	Adres Redakcyi i Administracyi:	Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**	Wschód słońca g. 4 m. 15	Długość dnia g. 15 m. 38
Jutro:	A. 7 po Św. Cyryla	N. 6 po Sosz.	Ulica Sykstuska l. 45.		Zachód „ 7 „ 53	Ubyło dnia od wczoraj 1 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 7 lipca.

W Paryżu odbyła się mała rewolucyjka, której przebieg, znany zresztą z telegramów, mniej jest ciekawy, niż jej przyczyna. Opowiemy ją dokładnie, bo warto wiedzieć za co krew przelewają z hałaśliwym zapałem wnukowie Robespierra i Marata, a synowie tych, którzy jak króliki uciekali przed Prusakami.

W lutym, w prywatnym salonie jakiegoś przeżytego jegomościa, odbył się pornograficzny wieczór. Bawiono się bardzo ochoczo, a wszystkie będące na tym wieczorze Nany rywalizowały ze sobą o lepsze. Jedna z tych istot, żądna liczniejszych wielbicieli, zrzuciwszy ze siebie szaty, jak ongi Fryne, stanęła w otwartem na ulicę oknie. Więc rychło w całym Paryżu dowiedziano się o tej brzydkiej zabawie. Istniejąca we Francyi „Liga przeciw niemoralności“ wystąpiła ze skargą przed prokuratoryą na tych birbantów i ich boginie, ale prokurator oświadczył, że w kodeksie nie ma paragrafu na taką brzydotę, popełnioną przy drzwiach zamkniętych, i tylko pociągnął do odpowiedzialności tę, która stanęła w oknie, a więc publicznie się popisała, jak Fryne; ją też sąd skazał na dwa miesiące do domu poprawy. Co do tego wyroku opinia się rozdwoiła. Ludzie przyzwoici oburzyli się na bezkarność rozpusty, wszyscy inni piorunować poczęli na surowość sądu. Liga przeciw niemoralności, z prezesem swym senatorem Bérengerem i wiceprezesami senatorami Simonem i Passy'm, wniosła do parlamentu projekt uzupełnienia kodeksu w ten sposób, iżby wszelka pornografia, jakkolwiek i gdziekolwiek popełniona, była przez sądy karana. Parlament uchwalił tę nowelę. Było to w marcu, a od tej chwili amatorowie pornografii poczęli się burzyć i dowodzić konieczności czynnego protestu przeciw śmiesznemu purytanizmowi. Młodzi malarze, wysługujący się przeżytym birbantom, urządzili w salonach Moulin-Rouge bal *„des quat'z arts“* (quatre arts — czterech sztuk — w wyrazie „quatre“, zgodnie z gwarą ludową paryską, wyrzucono „r“, a wstawiono „z“). Piękne modelki, wyobrażały sobą malarstwo, rzeźbę, architekturę i poezyę, tworzyły grupy, stawały w różnych grupach, a potem znawcy dawali im nagrody, w końcu zaś odbyła się licytacya tych sztuk pięknych, ale po tak zacnej zabawie smutne było przebudzenie się uczestników: wszyscy i wszystkie poszły do kozy. Sara Brown, Zuzanna Denne, Yvonne Roger i Manon Lavolle, cztery nagrodzone muzy, figurowały jako główne winowajczynie i karę im przyznano, ale że były zalotne, więc sędziowie zastosowali do nich przepis kodeksowy, ukuty niedawno, że skazanemu odpuszcza się karę za przewinę popełnioną po raz pierwszy. Uwolnionym zrobiono na ulicy owacyę. Więc natychmiast potem redakcya brudnego pisemka *Fin de siecle* urządziła drugi taki bal, który tem się różnił od poprzedniego, że się odbył nie w salonach Moulin-Rouge i nie w gronie dobrych przyjaciół i przyjaciółek, lecz w lokalu redakcyjnym i publicznie, za płatnymi biletami. To właśnie zgubiło sztuki piękne i mecenasów. Na bal ów weszło sporo ligistów przeciw niemoralności i oni to niemiłosiernie oćwiczyli zarówno muzy, jak Faunów, Bachusów i Sylenów. Najboleśniej dostało się tej samej Manon Lavolle, która już figurowała na ławie oskarżonych, a teraz była tak ochłostana, że się ruszyć nie mogła. Wszyscy inni zbiegli, gdy na głos awantury przybiegła policya, — Manon została, ją więc zabrano do prefektury, skąd do sądu poprawczego, a stamtąd jako recydywistka już poszła do więzienia.

Otóż ta chwila była początkiem rewolucyjki.

Malarze, z nimi studenci medycyny, a potem i cały kwartał studencki (Quartier Latin) stanął w obronie kultu żywych a pięknych sztuk. Zgrzybiali amatorowie tego kultu jęli ugaszczać młodzików, a pornograficzne świstki dostarczyły dobrego hasła: „Precz z protestantyzmem w sztukach pięknych!“ Trzeba zaś wiedzieć, że przywódzcy Ligi przeciw niemoralności: senatorowie Bérenger, Passy i Simon są protestantami, potomkami Hugenotów, którym 321 lat temu sprawiono noc świętego Bartłomieja. Przeniesiono tedy sprawę odrazu niejako na grunt religijny. Urządzono wielki bankiet na cześć rzezi w noc św. Bartłomieja, postarano się o to, aby podczas bankietu odezwał się dzwon, który ostatni raz dzwonił na ową rzeź z wieży kościoła St. Germain l'Auxerrois, potem udano się ku temu balkonowi, z którego waryat Karol IX strzelał do protestantów i tam dziękowano temu królowi za „jedyny“ w dziejach francuskich „czyn szlachetny“, wreszcie pomaszerowano przed dom senatora Bérengera, którego przezwano „Pére Pudeur“ (Ojciec skromniś) i tam wybito mu okna. Ale tu właśnie przybyła policya, więc nastąpiło pierwsze starcie i w rezultacie guzy. Tak noc się skończyła. Następnego wieczoru studenci i malarze, dotknięci do żywego wmięszaniem się policyi w ich zabawę, ruszyli przed prefekturę z krzykami: „Precz z Lozé'm!“ — a Lozé jest prefektem paryskim. Policya znów wystąpiła, tu jednak starcie już było na seryo, bo różne anarchiczne żywioły postanowiły skorzystać z awantur studenckich i delegowały swoje zastępy do udziału w walkach. Tu i ówdzie zaczęto budować barykady, poprzewracano kandelabry uliczne, obalono omnibusy i kioski, z wydartych bruków budowano wały, walczono z policyą i żandarmeryą żelaznymi prętami, otaczającymi drzewa. Cały bulwar Saint Michel zburzono. Wyprowadzono nareszcie wojsko; konna gwardya kilka razy atakowała tłumy i tu już było wielu rannych, byli i zabici. Studenci i malarze zeszli na plan drugi, zresztą i sami się spostrzegli, że za daleko zabrnęli i poczęli plakatami ogłaszać, że to nie oni robią te awantury. I w istocie, oni tylko zaczęli, a już dalej całą akcyę chwyciła w swe ręce anarchia, wysławszy na plac zatargów swoich „voyoux“ ową „sentina plebis“, która żyje w ciemnościach w każdem wielkiem mieście, a wypełza na światło dzienne wtedy jeno, gdy trzeba burzyć i rabować. Oczywiście przy tej sposobności każdy chciał upiec swą pieczeń. Więc radykaliści dowodzili, że naród wyraża niechęć do oportunizmu; zwolennicy Constansa wołali, iż gabinet Dupuy'a jest całkiem niezdarny, skoro nie może utrzymać ładu, i powinien ustąpić miejsca silnej ręce; bezwyznaniowcy utrzymywali, iż te wypadki trzeba rozumieć jako wybuch szczerego uczucia przeciw religijnej i moralnej hipokryzyi; słowem jedni chcieli z tych awantur wyciągnąć dla siebie zyski polityczne, inni pragnęliby jeszcze dalej posunąć życie bez wszelkich zasad i hamulców; nikt tylko nie pomyślał o tem, że skoro sprawa tak nędzna mogła poruszyć tłumy, popchnąć je na wojsko, skłonić do budowania barykad i przelewania krwi, to widocznie wre w głębi paryskiego motłochu, jest ogromna chętka do rewolucyi i do wywrócenia wszystkiego. Dla bezstronnego widza przedstawia się Paryż w świetle ostatnich wypadków, jako miasto mocno podminowane przez społeczną anarchię, która tylko czeka sposobności, aby wybuchnąć, ale jednodniówki republikańskie, wużyte, zgnuśniałe od wyrafinowanej rozpusty, po części są ślepe, po części niezdolne do wzięcia anarchii na łańcuch i jeśli widzą jej rosnące fale, to patrzą na nie tak obojętnie, jak karmny wieprz na nóż rzeźnika. Dla nich dość, że dziś wrócił spokój, a o jutro mniejsza!

Na uroczyste otwarcie parlamentu niemieckiego przez cesarza Wilhelma wcale nie przybyli socyaliści i postępowcy. Mowę tronową przyjęto z zadowolnieniem; wyrazy jej o dobrych politycznych stosunkach ze wszystkiemi mocarstwami i o pewności pokoju, przyjęto oklaskami. Teraz zapewne już niemieckie dzienniki nie będą dowodziły że hr. Kalnoky w swem *exposé* zaszkodził militarnemu projektowi i działał nie w duchu trójprzymierza. Mowa tronowa uzasadnia konieczność powiększenia armii nie obawami o pokój, ale potrzebą utrzymania go jak najdłużej, do czego jedynie posłuży równowaga sił zbrojnych, już w ostatnim roku naruszona przez to, że w „niektórych“ mocarstwach więcej dziś wojska, niż w Niemczech. O pokryciu kosztów militarnego projektu powiedziano w mowie tronowej krótko, iż o tem toczy się dyskusya między rządami krajów niemieckich i to, co będzie obmyślone, nie obciąży warstw ubogich i pracujących fizycznie. Mowę tronową cesarz odczytał, a potem, oddawszy kanclerzowi papier, rzekł: „Idźcie więc, panowie, z Wszechmocnym Bogiem pracować i niech On użyczy wam Swego błogosławieństwa w naradach nad zacną sprawą na korzyść ojczyzny. Amen!“

To zakończenie sprawiło podobno silny efekt, zwłaszcza że przed wypowiedzeniem mowy był cesarz z wszystkimi książętami krwi, ministrami i dworem na nabożeństwie w pałacowej kirsze i z niej prosto udał się do sali tronowej.

Po mowie cesarskiej zaraz zaczęło się posiedzenie. Obrano prezydyum i potem wnet zaczęła się między stronnictwami wymiana zdań co do militarnego projektu. Socyaliści i postępowcy zażądali od razu głosowania nad nim, aby oczywiście odrzucić go; liberałowie zażądali tego samego w nadziei, że będzie przyjęty. Pierwsi nie chcieli dopuścić do poufnych rokowań kanclerza ze stronnictwami, bo w ogóle nie chcą powiększenia armii; drudzy chcą tego powiększenia, lecz również pragnęliby, aby nie było poufnych rokowań, bo nie życzą, aby katolicy i Polacy cokolwiek wytargowali u rządu Jednak centrum dotąd się opiera, żądając odesłania projektu do komisyi; za tem są oczywiście i Polacy. Sprawy tej jeszcze nie rozstrzygnięto, a tymczasem będzie się odbywało pierwsze czytanie projektu w pełnej izbie. Zacznie się ono w sobotę, a jeśli stronnictwa porozumieją się i zgodzą nie odsyłać projektu do komisyi, to drugie czytanie zacznie się we wtorek.

KORESPONDENCYE.

Poznań 1 lipca.

(*S.*) A więc jesteśmy znowu po wyborach i mamy zabezpieczony na czas dłuższy odpoczynek po trudach wyborczych. Na czas dłuższy?— niestety mylę się, gdyż już w październiku najpóźniej skończy się obecny peryod sejmu pruskiego i trzeba będzie obierać posłów na nowe pięciolecie. Wybory tu nie wypadną tak pomyślnie, jak co dopiero odbyte wybory do parlamentu, gdyż do sejmu wybieramy wedle systemu trójklasowego i jawnie, a wiadomo, jakie spustoszenie komisya kolonizacyjna uczyniła w niektórych powiatach, mianowicie w gnieźnieńskim, wągrowieckim, wrzesińskim, wykupując w nich ogromne kompleksa polskie i rugując z nich całkowicie żywioł polski. Niestety naszej większej własności ziemskiej jakaś fatalna przyświeca gwiazda; świeżo zmarło u nas trzech magnatów w całem tego słowa znaczeniu, pozostawiając po sobie olbrzymie fortuny — ale niestety nie pozostawiając po sobie takich następców, którzyby te fortuny potomności nienaruszone przekazać umieli!

Jeszcze się nie zgromadził nowy parlament, a już wszystkie pisma, tak niemieckie, jak nasze, zastanawiają się nad pytaniem: co zrobi, jak postąpi Koło polskie? Faktem jest, że od Koła polskiego zależą losy ustawy wojskowej niemieckiej — i bardzo nieostrożnie igrają ci z ogniem, co pragnęliby wpłynąć na posłów naszych w tym kierunku, aby się zdecydowali stanąć bezwzględnie po stronie przeciwników rządu. Znalazł się nawet pomiędzy nowo wybranymi posłami jeden, który — naturalnie anonimem — nie waha się występować w tym duchu w organie katolików niemieckich, berlińskiej *Germanii* — a aby przypadkiem rząd nie usiłował zjednać sobie Polaków jakiem ustępstwem, poseł ów oświadcza w *Germanii*, że rządowi w takim razie ufać nie należy, bo może nam odebrać jutro to, co nam dzisiaj ofiaruje! Szanowny ten pan jest widocznie politykiem ze szkoły *Gońca Wielkopolskiego*, który za głosy polskie oddane za wojskową ustawą żąda ni mniej ni więcej, tylko przywrócenia *status quo* z r. 1850. Smutna to rzecz, gdy trzeba patrzeć na tak lekkomyślne traktowanie spraw najważniejszych, i to przez ludzi, którzy tylko dla tego sprzeciwiają się zdaniu większości, ponieważ ta większość nie umiała się poznać na ich wielkości i zasługach. Opowiadają o jednym z największych krzykaczy opozycyi naszej w Berlinie, że swego czasu żądał nałożenia kary, względnie wypowiedzenia nagany ze strony Koła posłowi, który na wyraźne zaproszenie udał się na obiad do kanclerza Capriviego; ten sam poseł atoli, wkrótce potem zaproszony na obiad przez ministra oświaty ówczesnego, hr. Zedlitza, tak się śpieszył do niego, że o mało sobie nóg nie połamał, a na pierwszej uczcie parlamentarnej tak się rozczulił, że się chciał podobno ściskać, czy ściskał z pewną figurą, której wyrażenie dosadnie o pewnym rodzaju skutecznej broni, na zawsze pozostanie w pamięci ludności polskiej obwodu bydgoskiego.

Naszem zdaniem posłowie nasi powinni zażądać od rządu przywrócenia języka polskiego w szkołach elementarnych i w zamian za to ustępstwo głosować za ustawą. Rząd, jeżeli ma choć odrobinę życzliwości dla swych poddanych polskiej narodowości, nie będzie mógł odmówić tak skromnemu żądaniu, a posłowie nasi z takiem ustępstwem w ręku mogą śmiało wobec swych wyborców wziąć odpowiedzialność za głosowanie za projektem. Faktem jest, że wskutek bezustannych podbechtywań ze strony *Gońca Wielkopolskiego*, *Orędownika* i *Postępu*, z których dwaj pierwsi czynili to z obrażonej dumy i zawiedzionych aspiracyi, a ostatni z prostej nienawiści do tak zwanej polityki szlacheckiej, tu i ówdzie na zebraniach przedwyborczych pojawiła się mniejsza lub silniejsza opozycya przeciwko tak zwanej polityce ugodowej, t. j. tej polityce, która radzi nie oponować z zasady rządowi, lecz przez spokojne zachowanie się próbować, czy rząd nie cofnie względem nas wszystkich ustaw wyjątkowych. Ale z drugiej strony faktem jest, że wszystko, co jest poważniejszego w społeczeństwie, przyszło już dzisiaj do tego przekonania, że czasy bezsilnego odgrażania się i wiecznych protestów już minęły bezpowrotnie, że jeżeli nie mamy zmarnować tych resztek sił, jakie nam jeszcze pozostały, musimy wejść na inną drogę, a tę drogę przedstawia nam jedynie i wyłącznie polityka, zainaugurowana od trzech lat w kole parlamentarnem polskiem. Niech tylko posłom naszym uda się cofnąć reskrypt, wyrzucający język polski ze szkoły elementarnej, a mogą być pewni, że cała ludność wdzięczną im będzie za ich politykę i nie zwróci wcale uwagi na krzyki bezmyślne tych, którzy się przez długie lata własnych i obcych doświadczeń niczego ani nauczyli i niczego nie zapomnieli.

Odbyło się tu w tych dniach zebranie Spółki akcyjnej pod firmą „Teatr polski“ w ogrodzie Potockiego, na którem p. Fr. Dobrowolski, redaktor *Dziennika Poznańskiego* jako dyrektor teatru, zdawał sprawę z prowadzenia sceny poznańskiej. Dochód z roku 92/93 przedstawia się jak następuje: Dzienny zbiór od października aż do kwietnia roku 93 wynosił 45.524 m. 90 f., abonament przez te 7 miesięcy 5538 m., subwencya (od spółki teatralnej) 3850 m., nadzwyczajne dochody 12.989 m. 26 f. — razem dochodu było 69.940 m. 61 f., (włącznie z remanentem z r. 1892 w kwocie 2038 m. 45 f.) rozchód wynosił: zwrot abonamentu z przedstawień benefisowych 351 m. 30., gaże i koszta podróży 35.298 m. 98 f., oświetlenie i opał 3728 m. 96 f., muzyka 4501 m. 85 f., afisze, ogłoszenia i inne druki 1295 m. 20 f., rekwizyta, kwiaty i inne wydatki 520 m. 75 f., obsługa (gazowy, straż ogniowa, bileterki, woźny i statyści 2609 m. 25 f., extraordinaria 5440 m., zaliczka na wydatki sceny 3750 m., bibljoteka 765 m., meble i garderoba 1572 m. 92 f., benefisy artystów, honorarya artystów-gości i prowizye autorów 7864 m. 56 f, wpłata do kasy chorych i zabezpieczenia na starość 113 m. 12 f, — suma rozchodu wynosi 67812 m. 52 f., — remanent na rok przyszły wynosi 2128 m. 9 f.

P. Dobrowolski objaśniał poszczególne pozycye, przyczem wskazał na podniesienie się zasobów biblioteki i garderoby teatralnej, mających wartość około 16 tysięcy marek, i wyraził podziękowanie spółce akcyjnej „Bazaru“ za subwencyonowanie sceny i za uchwalenie dla niej i na rok przyszły subwencyi w wysokości 2 000 m. W interesie prawdy porusza p. D. przykrą sprawę t. zw. żelaznego funduszu, co do której ciągle jeszcze różne fałszywe krążą opowiastki. Powtarzają się takie słowa, jak „zmarnowano fundusz żelazny“. Mówca nie zwala z siebie odpowiedzialności, tak samo, jak jej nie zwala z siebie cała dyrekcya sceny, t. j. pp. dr. Kusztelan i Urbanowski i rada nadzorcza, która czuwa nad działaniem dyrekcyi i z której przyzwoleniem wszystko się działo, ale należy pokazać, do czego się ta odpowiedzialność odnosi. Kiedy fundusz, o którym mowa, począł się zbierać, były w kasie teatralnej zupełne pustki. Były wtedy tylko dwie drogi wyjścia: albo używanie składek wpływających pod tytułem funduszu t. zw. żelaznego na subwencyonowanie sceny, albo zamknięcie teatru, gdy innych funduszy na subwencyonowanie sceny nie było, a dawniejszy dom frontowy teatru nie przynosił tyle, aby opłacać koszta amortyzacyi, zabezpieczenia ogniowego gruntu i gmachu teatralnego. Potrzeba było rocznie do 10.000 mr. i dla pokrycia tych kosztów koniecznie trzeba było korzystać z funduszu żelaznego, jeżeli teatr nie miał iść pod młotek subhastacyjny, pod który byłby się dostał niewątpliwie, gdyby na termin styczniowy lub lipcowy procenta nie były opłacone. Dyrekcya spółki teatralnej wykazać może rachunkami, że n i e r u c h o m o ś ć teatralna zjadła połowę owego funduszu żelaznego, który zresztą nie wpłynął odrazu, ale wpływał zwolna. S c e n a zjadła przez owe dziesięciolecie, przez które p. Dobrowolski prowadzi scenę, 51.000 m, po 5.100 m. przeciętnie rocznie.

Ponieważ od pewnego czasu składki na teatr prawie wcale już nie wpływają, przeto trzeba było obmyśleć inny sposób celem zabezpieczenia teatrowi jakiej takiej przyszłości. Zaradził sprawie dyrektor Banku Związku spółek zarobkowych, dr. Kusztelan, człowiek nadzwyczaj czynny i energiczny, który założył spółkę budowlaną „Pomoc“, wybudował dwie kamienice (jednę na miejscu dawniejszej frontowej teatru, drugą obok, na zakupionym nowo gruncie) i osiągnął taki zysk, że z niego opłacać będzie można wszystkie niedobory teatralne. W przyszłej korespondencyi napiszę wam obszerniej o „Pomocy“, której walne zebranie odbyło się tu w zeszły piątek.

Ciekawą książkę wydał tu niezmordowany w dziedzinie prac geograficzno-historycznych p. Edmund Callier, znany pułkownik z r. 1863. Jestto „Kronika żałobna utraconej w granicach W. Ks. Poznańskiego ziemi polskiej“. Pierwszy, dotąd wydany tom, obejmuje powiat żniński. Oczekujemy dalszych tomów.

Podobno ma tu zacząć wychodzić nowe pismo dla stanu mieszczańskiego, obliczone na zabicie *Orędownika*. Redaktorem ma być pewien pseudo-poeta, współpracownikami i opiekunami dwaj młodzi ludzie, z których jeden jest praktykującym lekarzem, a drugi początkującym adwokatem. Ciekawość, zkąd ci panowie wezmą fundusz, bo sami w trójkę reprezentują jedno wielkie zero. Życzymy im w każdym razie powodzenia.

ICH SYN

Powieść współczesna

przez

HAJOTĘ.

(Ciąg dalszy).

Paniuchna jej przekłada, że to, że tamto; tak ona się zamyśli, głowiną pokiwa i mówi: „Już ja wiem co zrobię; będę się tak uczyła, będę się tak sprawowała, że jak dorosnę, to matuchna mi pozwoli samej do tatki pojechać. Ja sobie w drodze dam radę i może jeszcze tatkę przywiozę i Tadzia. Zobaczy matuchna“. Czy to nie anielskie były słowa paniczku? To też mnie tego słuchającej — bo często za portyerą w kątku sobie stałam — mało co serce nie wyskakiwało z piersi. A wyglądały obiedwie jak malowanie z ołtarza. Tylko klękaj i módl się. To też, co się dziwić, że w domu było jak w kościele, cicho, pobożnie, sprawiedliwie. Za to potem istny sąd Boży nastał paniczku. Kiedy Jadwisię na cmentarz wynieśli, a paniuchna z pogrzebu wróciła, Chryste Jezu (tu Bibisia przeżegnała się nieznacznie), myślałam, że ją złe opętało. Głową o mur tłukła, krzyczała, że się zabije, nie kładła się do łóżka przez pięć nocy; jedzenia też nie tknęła, tylko biegała w kółko po mieszkaniu, a żeby choć jedna łza z oka jej spadła, to nie i nie. Doktor już sam nie wiedział, co robić.

Umilkła, żeby odpocząć trochę. Szczupłe jej policzki okryły się pomarańczowym rumieńcem, usta drżały, a w oczach odbijał się jakby jakiś dziecinny podziw, jakby niedowierzanie samej sobie, że to wszystko, co teraz opowiadała, mogło się dziać rzeczywiście — i przeszło — i świat się nie przewrócił.

— Biedna mama! — szepnął Tadeusz, nie odrywając oczu od portretu siostry.

— O pewnie, że biedna paniczku. Ale Bóg miłosierny się ulitował nad nią. Jak się już nadesperowała, nakrzyczała, napłakała, nalatała, tak opadła ją taka niemoc, że ani palcem ruszyć i wtedy wszystko z nią zrobić było można, niby z dzieckiem. Co doktor przepisał, brała, dało jej się jeść, jadła, położyło się ją spać — spała. A łzy to jej ciągiem po twarzyczce płynęły, przez sen nawet. Doktor powiedział, że ją to ocaliło od waryacyi. I było tego może dwa miesiące, może więcej. A potem szło coraz lepiej. To jaką książkę weźmie, to na cmentarz pojedzie, to nawet kogo z gości przyjmie. I co paniczek powie! Żeby ją to choć trochę na wygląd zmarnowało. Zawsze piękna i piękna. Blada bo była jak ta lilijka, ale ja sama nie wiem, z czem jej bardziej do twarzy, z bladością, czy w kolorach.... Pokazywała przytem, że ją w boku kłóło, więc doktor koniecznie: „Jedź pani do wód, lecz się“. Paniuchna z początku nie i nie, i tak przekaręczała więcej jak półtora roku. Ale na drugie lato po Jadwisinej śmierci dała się przecież namówić i pojechałyśmy do tego Emsu.

Bibisia zawiesiła znowuż opowiadanie. Stali oboje plecami do drzwi obróceni; on zapatrzony w portrety, ona w niego.

— Bóg natchnął tego doktora, że tam paniuchnę wysłał — ciągnęła po chwili. — Mnie się tam strasznie przykrzyło, bo to ani ust do kogo otworzyć, ale co prawda to prawda, cudowne to jakieś wody. Paniuchna odzyskała zdrowie i nabrała humoru lepszego i taką piękną znajomość zrobiła.

Odgłos kroków lekkich bardzo, połączony z tym delikatnym chrzęstem i szelestem, jaki towarzyszy poruszeniom elegantek, zdradzając wykwintną tajemnicę jedwabnych podszewek, dał się słyszeć u drzwi.

Tadeusz i Bibisia odwrócili się śpiesznie.

W fałdzistych ramach portiery stała Klotylda. Spacerowy kostium z ciemno-zielonego pluszu podnosił blask jej cudnej, zaróżowionej od wiatru cery i obciskał jej wspaniałą kibić. Fantazyjny kapelusik leżał wdzięcznie na złocistych włosach, a cieniuchna woalka, niby obłoczek jutrzenkę, przesłaniała jej promieniejącą pięknością twarzyczkę. Weszła tu, niczego się nie domyślając, zajęta może świeżo porobionymi sprawunkami, bo w ręku miała parę paczek delikatnie w angielską bibułkę owiniętych; oczy jej błyszczały, usta były uśmiechnięte. Wyglądała w tej chwili tak nadzwyczaj młodo, że nie potrzeba było zaślepienia Bibisi, żeby ją wziąć za rówieśnicę niemal tego dorodnego młodzieńca, który rzucił się ku niej z nieopisanym okrzykiem.

Klotylda krzyknęła także. Paczki z rąk jej wypadły, otworzyła ramiona i pochyliła się nad obejmującym jej kolana Tadeuszem.

— Dziecko moje! Tadziu! nareszcie!

— Matuchno!

Przez długą chwilę tylko te wykrzykniki urywane i milczące uściski wypełniały uroczystą ciszę powitania matki z synem.

Bibisia, wciśnięta w najdalszy kąt buduaru płakała, tłumiąc łkania kułakiem i ocierając raz w raz oczy, by się widokiem tej wzruszającej grupy napawać mogły. Klotylda, z tą namiętną popędliwością, która zdawała się być motorem wszystkich jej czynów, szarpnęła woalkę, rozdzierając jej pajęcze tkanki i zrzuciła kapelusz na ziemię, by jej w pieszczotach z synem nie przeszkadzał.

Odsunęła go wreszcie trochę i trzymając za obie ręce przed sobą, rwącym się dziwnie z nadmiaru wzruszenia głosem, mówić zaczęła:

— Wierzyć mi trudno... To ty? ten mój synek mały, który się czepiał mojej sukni i tak rzewnie płakał... i bez mamusi odjechać nie chciał... Pamiętasz Tadziu?... Pamiętasz, jak cię otulałam na drogę i prosiłam, żebyś był grzeczny i w drodze kłopotu tatce nie robił? Pamiętasz?

Tadeusz całował ją po rękach.

— Któż takie rzeczy zapomina, matuchno?

— Dzieci — odpowiedziała ze smutnym nieco uśmiechem. — Dzieckiem takiem cię pożegnałam, cóż dziwnego, żebyś się był zupełnie odzwyczaił od matki.

Tadeusz spojrzał na nią prawie z wyrzutem.

— O mamo! — zawołał. — A ojciec! Czyżby on na to pozwolił. On, który cię tak kocha!

Klotylda spuściła oczy.

— Twój ojciec, — szepnęła lekko zmienionym głosem. — Cóż z nim się dzieje? Czy masz list do mnie?

— Nie. Ojciec przy pożegnaniu pocałował mnie w czoło jak nigdy i powiedział: „To dla twojej matki“ I łza mu spadła z tego oka, które nigdy nie płacze...

Domawiając tych słów, Tadeusz przykląkł znów przed stojącą wciąż ze spuszczonemi oczyma kobietą.

— Weź matko ten pocałunek męża, który ci twój syn przywiózł, — rzekł takim głosem, jak gdyby każdy z tych wyrazów był relikwią.

Dziwna zmiana zaszła w twarzy Klotyldy. Bolesny kurcz ściągnął jej piękne rysy, jakieś zewnętrzne pasowanie się ze sobą szybszym oddechem podniosło jej piersi, po chwili pochyliwszy się, drżącemi usty dotknęła czoła Tadeusza.

Wyprostowała się szybko i rozpinając nerwowo szenszylą podszyty kaftanik, zwróciła się do Bibisi:

— Moja Bibisiu, proszę zebrać te rzeczy. I niech tam wszystko w pokoju pana Tadeusza będzie gotowe. Zajmij się tem z Józefem.

— Już ja mu to proszę paniuchny przykazałam, — odpowiedziała stara piastunka, zbierając rozrzucone na dywanie przedmioty. — Ale taki pójdę dopilnować tego wartogłowa.

Matka i syn zostali sami. Klotylda siadła na otomanie i pociągnęła za sobą Tadeusza.

Milczeli czas jakiś, jakby przygnieceni wrażeniem tego tak długo oczekiwanego zbliżenia. Chwile bardzo wielkiego szczęścia mają to do siebie, że niemal ból sprawiają. Jest w duszy ludzkiej, tej wędrownicy po dolinie łez, instynktowny lęk przed mirażami lepszych światów niezamąconych radości, które jej się gdzieniegdzie ukazują.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiec katolicki.

Kraków 6 lipca.

Ranek dzisiejszy poświęcony był dalszym obradom sekcyi, które niezmordowanie pracują. O godzinie 12ej zaś odbyło się w sali „Sokoła" wspólne zebranie celem przyjęcia rezolucyi uchwalonych przez sekcye. Zanim jednak przystąpiono do głosowania, przewodniczący p. Gorayski udzielił głosu ks. prof. dr. Bartoszewskiemu, który wypowiedział (po rusku) piękną mowę na temat: „Tegoczesna szkoła, jej wady i sposoby naprawy." Zaznaczył, iż ten pierwszy wiec katolicki polsko-ruski jest pierwszym krokiem postawionym na drodze do odrodzenia się i ustalenia w prawdziwym duchu katolickim. Za krokiem tym pójdą dalsze i daj Boże, że wkrótce zbierze się taki wiec w Przemyślu lub Lwowie. Jak to w Krakowie z gorącem sercem witali Rusinów i po staropolsku ich ugaszczali, tak samo Rusini na wiecu we Lwowie lub w Przemyślu z gorącem sercem przyjmą gości z prastarego grodu Krakusa i zachodniej części kraju (Oklaski). Przechodząc do prac wiecu, podniósł mówca, iż najważniejszemi bezsprzecznie sprawami zajmowała się sekcya szkolna. Miała ona największe zadanie, mianowicie obmyślenie sposobu uchronienia dzisiejszych szkół od naleciałości liberalnych, antireligijnych. Wiec dzisiejszy jest więc niejako pierwszem consilium lekarskiem, które radzi nad tą sprawą, i zła się każdy to przyzna, iż organizm narodowy tylko takiemi zebraniami uzdrowiony być może. Tak naród polski jak i ruski, kraj ten zamieszkujący, wspólne łączą losy. Co dobre jest w kraju wspólnie je cieszy, co złe wspólnie je boli. Oba narody też cierpią mocno z tego powodu, że szkoła ludowa w kraju nie jest taką, jaką być powinna. Jeden z wielkich myślicieli powiedział, że czyja szkoła—tego przyszłość. Zrozumieli dobrze tę rzecz wolnomularze, i krzątają się już oddawna pilnie około reformy szkół ludowych w swym duchu, bo wiedzą, że szkoła ludowa najbardziej jest podatną do rozwoju i pielęgnowania antireligijnych i antikościelnych zasad, gdyż w młodzieńcze, niedoświadczone a ufające wszystkiemu serca dzieci najłatwiej jest wpoić jakieś przekonania. Dzieci nie posiadają zmysłu krytycznego, każdą naukę przyjmują za dobrą monetę i dla tego też to przez nie najłatwiej wpływać na zmianę uczuć i zapatrywań w społeczeństwie. Dlatego też to przewodnicy Kościoła i religii tak z całych sił starają się o usunięcie ze szkół wpływu duchowieństwa i o oczyszczenie ich bezwyznaniowości. Lecz do tego nie mają prawa. Kościół jest matką szkół, on pierwszy zajął się oświatą ludu i na tem polu położył niespożyte zasługi. Nikt im dorównać nie może, a zasługi tych nie odmawiają mu nawet najwięksi jego wrogowie.

W dalszym ciągu skreślił mówca historyę szkół elementarnych i parafialnych, utrzymywanych przez kościoły i zgromadzenia zakonne w Polsce i Rusi i wykazywał, jak posiew ich piękne i bujne wydał owoce. Opierając się na swej tak błogiej w skutki działalności na polu szkolnictwa, Kościół nie może wyrzec się prawa kierownictwa szkołami ludowemi. Dlatego też, gdy widzi dziś, iż do szkoły ludowej wdarły się wpływy złe i niebezpieczne, dąży do ich usunięcia. Stać się zaś to może wtedy, gdy Kościół i władza świecka razem harmonijnie w tym duchu działać będą. Niestety po roku 1867 wydano w kraju naszym mnóstwo liberalnych ustaw szkolnych, które sprowadziły rozdział między Kościołem a szkołą, między religią a innymi przedmiotami, których uczą w szkole, które nadały katechecie w gronie nauczycieli rolę pariasa, a wychowanie w duchu religijnym uniemożliwiły. Głównym celem tych liberalnych ustaw szkolnych jest — jak one same zaznaczają — „wyrobienie u młodzieży charakteru otwartego i szlachetnego." Cel to bardzo niejasny i mnóstwo nasuwający podejrzeń. Do wytworzenia charakteru otwartego nie trzeba szkoły, wytwarza go temperament i wychowanie, i taki charakter otwarty może iść w parze z niereligijnością. Wyrażenie „szlachetny charakter" również jest bardzo elastyczne. Cóż bowiem nazwiemy szlachetnym charakterem? Wszak bandytów przecie nazywano szlachetnymi ludźmi, a nawet niedawno jakiś francuski pisarz, który osławionego dynamitarda Ravachola nazwał „szlachetnym". Szkoła ludowa w pierwszej linii powinna dać wychowanie religijne. Bez takiego podkładu młodzież upada i nurza się w kale, najlepszym dowodem Francya. Tam szkoły bezwyznaniowe istnieją dopiero od lat 10, a jaki ich owoc. Sami Francuzi przyznają, że od tego czasu młodzież francuska zwyrodniała, dziczeje, liczba młodych nieletnich przestępców wzrasta w zastraszający sposób z roku na rok, a tak, gdy w r. 1886 było ich 23.000, to w roku 1887 zwiększyła się do 28.000 a w w roku 1892 wynosiła już 36000. A przestępcy ci według słów sędziego Gilotte'a odznaczają się takim moralnym upadkiem, taką brutalnością, wyuzdaniem i chęcią popisywania się swemi zbrodniami, iż trudno to uwierzyć. Źle to uznali już mądrzy, niezaślepieni Francuzi i wołają o reformę szkół, a wszyscy zgodnie przyznają, że reforma ta musi się opierać o ewangelię. W Niemczech również nie dzieje się lepiej, a słynny uczony niemiecki Koller wzrost w Niemczech socyalnej demokracyi i wyuzdanie obyczajów przypisuje tylko złym wpływom szkoły.

U nas, gdzie społeczeństwo jest na wskroś katolickie, dzięki Bogu, nie zaszło jeszcze tak wielkie zepsucie. Ale niestety każdy zauważyć musi, że i tu wpływ liberalnych ustaw szkolnych nie pozostał bez skutku. I u nas młodzież teraz jest bez serca i uczucia, nie zna miłości i uszanowania dla rodziców i starszych, a nie wahała się nawet targnąć się na wypróbowanych dostojników Kościoła. Zdziczenie to wywołała szkoła. Słusznie też ks. Tytus Kowalski w Sejmie podczas obrad nad sprawą szkolną założył w imieniu duchowieństwa i ludu protest przeciw nowym liberalnym ustawom szkolnym, gdyż do nich usunęły wpływ Kościoła ze szkoły i domagał się przywrócenia wydartych duchowieństwu praw.

Wiec katolicki również — kończył mówca — powinien dać wyraz temu żądaniu i jasno powiedzieć, że katolicy galicyjscy tak Polacy jak Rusini, pragną przywrócenia wpływu duchowieństwa w szkołach i przyjąć jednogłośnie wszystkie rezolucye, przedłożone przez sekcyę szkolną (Oklaski).

Następnie odczytanie rezolucyi uchwalonych przez sekcye.

P. Włodzimierz Kozłowski w długiem i pięknem przemówieniu motywował wnioski, uchwalone przez sekcyę i wykazywał potrzebę zaprowadzania w kraju naszym szkół wyznaniowych. Żądanie to nie wykracza przeciw zasadom tolerancyi, boć ono przyznaje szkoły wszystkim wyznaniom, a tylko ostrze swe kieruje przeciw bezwyznaniowości.

Przemówienie to przyjęto oklaskami.

Następnie zgromadzenie jednogłośnie przyjęło wszystkie rezolucye, uchwalone przez sekcye wiecu katolickiego na posiedzeniach odbytych wczoraj i dzisiaj. Rezolucyi tych jest bardzo wiele i podamy je w następnych numerach naszego pisma.

Dola oficyalistów prywatnych.

Otrzymaliśmy następujące pismo z prośbą o umieszczenie: „Gdy i dla naszej biedy otworzyłeś łamy pisma swojego, pozwól panie redaktorze, iż dotknę tu w sprawie oficyalistów prywatnych zamieszczonego w *Przeglądzie* nr. 152 z d. 4 maja dorzucę słów parę z uprzejmą prośbą, byś je również w szanownem piśmie swojem umieścić raczył.

Szanowny autor wyż wymienionego listu zaznaczył dosyć dobitnie niedolę, lecz tylko materyalną oficyalistów prywatnych, tych tak słusznie nazwanych „białych murzynów" społeczeństwa naszego. Pominął jednak to, że biedni ci ludzie często przy niedostatku, z nędzą prawie graniczącym, narażeni są na tysiące udręczeń moralnych, które bodaj czy nie dotkliwsze są, jak sama bieda materyalna.

Za ciężką pracę, za pot kroplisty, za noce nieprzespane, za dni wśród słoty, zimna i upałów pod gołem niebem spędzane, za gorliwe, często na szwank zdrowia narażające poświęcanie się do dobra kraju, czeka oficyalistę prywatnego lekceważenie, upokorzenie, poniżenie na każdym kroku, a na starość — kij żebraczy. Traktowany jak parobek, często dotkliwie obrażany w poczuciu godności osobistej, zatraca ją powoli, a nabierając tego typowego uniżenia, staje się ofiarą kaprysów, zachcianek, złego humoru a częstokroć tyranii swego chlebodawcy. Drży przed utratą posady, która niespodzianie z powodu najmniejszej drobnostki na niego spaść może. U drzwi stojąc, jak lokaj do ostatnich posług używany, odbiera dyspozycyę swego chlebodawcy, który za ubliżenie poczytywałby sobie odpowiedzieć uprzejmie na powitanie jego, lub też po całodziennej pracy pozwolić mu w swej obecności usiąść. A dodać tu trzeba, że lekceważenie to zaraźliwie udziela się i dalszym warstwom społeczeństwa, spotyka ono oficyalistę nietylko u pana, u którego on służy, lecz i u tego nawet, z którym go stosunki służbowe nie wiążą; co gorsza, lekceważą go w sądzie, w urzędzie, na poczcie, na kolei, w sklepie i wszędzie, odmawiając wstępu do inteligentniejszego towarzystwa. Nic też dziwnego, że biedny człowiek taki dziczeje, nabiera rubaszności, traci swobodę słowa i staje się przedmiotem żartów.

Nie dosyć na tem, zawisły materyalnie, staje się również zawisłym pod każdym względem i w życiu pozasłużbowem. Oficyalista prywatny, by się panu nie narazić, w chwilach wolnych nie śmie krewnych odwiedzić, nie wolno mu dziecka ochrzcić, nie wolno kształcić, nie wolno mu córce wesela sprawić, jednem słowem wszystko mu wzbronione, nie mówiąc już choćby o najmniejszej rozrywce jako o wypoczynku po ciężkiej pracy i źródle nowych sił do niej. To wszystko „prowadzi do nadużyć", gdyż na to wszystko „nie stać go", lecz czy stać nie powinno? Czy niezmordowany pracownik ten, poświęcający się dla swego chlebodawcy, poświęcający się dla kraju, często wykształcony, inteligentny, to nie człowiek jak inny? Niestety — tylko nie w pojęciu swego pana, u którego jest wołem roboczym o tyle potrzebnym, o ile mu sił do pracy staje, a gdy starość przyjdzie, po kilkudziesięciu latach nienagannej, gorliwej i wiernej służby, bez środków do życia, schorzały i sponiewierany, znajdzie się wraz z rodziną wśród świata szerokiego bez dachu i kąta.

Pieniędzy, garściami wyrzucanych, brakuje panom często tam, gdzie chodzi już nie o dobrodziejstwo, o poratowanie w biedzie sługi swego, lecz nawet tam, gdzie idzie o zasłużoną należytość ekonoma, leśniczego i t. p. Jeśli kiedy biedny ten człowiek potrzebą zmuszony prosi o małą podwyżkę pensyi, o parę korcy zboża lub o pozwolenie na większe utrzymanie bydła, nad prośbą tą zastanawia się pan jego niezawodnie dłużej, jak wówczas, gdy dla dogodzenia fantazyi swej lub próżności na jeden wieczór tysiące wydawał!

Często bardzo odmawia zupełnie, niepomny że drobnostka, nic prawie nieznacząca, ocierając łzy troski, zjednałaby mu więcej wdzięczności a nawet pożytku, jak wszystkie owe częstokroć zmarnowane tysiące. Przy sposobności takiej zwykle wiele o oszczędności się prawi, a biedak musi wysłuchać tego kazania, choć czuje jego moralną nicość, choć wie dobrze, że panowie oszczędzają tylko tyle, ile na siłach, zdrowiu i spokoju swych poddanych oszczędzić mogą! Nic też dziwnego, że panowie miasto wdzięczności zbierają gorycz i żal, często zawiść, miasto przywiązania obojętność, a kraj w oficyalistach prywatnych zyskuje przeważnie pracowników nie z zamiłowania zawodu i poczucia obowiązku, lecz wyłącznie tylko z przymusu — dla chleba! Młodzież niechętnie garnie się do szkół rolniczych i lasowych, a rodzice w ostateczności tylko dzieci swoje do prywatnego zawodu przeznaczają. Ja sam trzech mam synów, lecz gdybym ich i dziesięciu miał, wolałbym każdego niezależnym widzieć rzemieślnikiem, niźli oficyalistą prywatnym. Kraj nasz, to kraj czysto rolniczy, a szlachetna praca na roli wymaga ludzi z odpowiedniem wykształceniem i uzdolnieniem. Mamy też szkoły kształcące leśników i agronomów, lecz przypatrzmy się teraz, jaką też opieką od rządu i kraju są ci ludzie otoczeni?

Najróżnorodniejszymi urzędnikami, nauczycielstwem wszystkich szkół, strażą skarbową, żandarmeryą, w ogóle każdym zawodem, bo nawet i robotnikami opiekuje się rząd. We wszystkich prawie zawodach mają urzędnicy i słudzy nadzieję awansu i prawo emerytury. W kraju mnożą się liczne instytucye humanitarne, różne stowarzyszenia i zakłady dobroczynne, mające na celu wspieranie członków należących do tej lub owej warstwy społeczeństwa. W sejmach radzą nad polepszeniem bytu prawie komarów w kraju żyjących, tylko biedni oficyaliści prywatni pozostawieni sami sobie, walcząc z najróżnorodniejszemi uprzedzeniami, opuszczeni od panów, rządu i kraju częstokroć w największej nędzy prowadzą życie beznadziejne i gorżkie. Bo proszę zważyć, że w ciężkich chwilach niedoli biedak taki zginąć musi, gdy prostej pożyczki, choćby bardzo skromnej, jeśliby ją w potrzebie zaciągnąć chciał, nigdzie udzielić mu nie chcą.

Towarzystwo oficyalistów prywatnych, ta jedyna instytucya ratunkowa, istniejąca od lat 25 dźwignęła się ich własną pracą, krwawo zapracowanym, od ust odjętym groszem, bez pomocy rządu, bez poparcia kraju, a co smutniejsza bez współudziału panów — bo niestety dobrodziejów Towarzystwa na palcach u rąk policzyćby można.

Działalność jego doniosłą jest dla nas niesłychanie, a jako jedyną instytucyę ratunkową wspierajmy ją szanowni koledzy, przystępujmy wszyscy, o ile możemy najliczniejszymi udziałami a dumni kiedyś będziemy, że siła i rozwój jego a tem samem pomoc w niedoli tylko sobie zawdzięczać będziemy.

Skreśliwszy przykre położenie oficyalistów prywatnych względem swych chlebodawców, zaznaczyć muszę, że nie miałem tu na myśli owych nielicznych wyjątków, tych szlachetnych i dobrych panów, owych prawdziwych magnatów staropolskich, u których lżejsza dola dla tych, którym los szczęśliwy u nich służbę przeznaczył. W każdym razie trudno zaprzeczyć, że dziś to prawie postacie mityczne, takich panów mało, bardzo mało i tych dla dobra kraju i ludzi biednych oby Bóg wraz z ich czcigodnemi rodzinami w jak najdłuższe lata zachował i w dziesiąte pokolenie błogosławić raczył! Faktem jednak niezaprzeczonym jest, że ogólnie wziąwszy smutny jest los oficyalistów prywatnych, a polepszenia nadzieja żadna. Panowie, od których to w pierwszym zawisło rzędzie, coraz częściej ziemię ojczystą w obce sprzedają ręce lub żydom dzierżawią.

Być może, że znajdzie się kiedyś dusza litościwa i sprawiedliwa, jakaś osobistość wpływowa, która poruszy tę sprawę i zwróci uwagę rządu i władz krajowych, że mniej obojętnie spoglądać będą na biedę licznego zastępu oficyalistów prywatnych. Może przyjdzie kiedyś chwila, że przecież pojawią się jakieś ustawy obowiązujące jedną stronę i drugą.

Może się znajdzie jakiś szlachetny filantrop, spieszący hojną dłonią do założenia jakiegoś instytutu dla uczącej się młodzieży ze sfery oficyalistów prywatnych, do utworzenia jakiegoś zakładu lub ufundowania stypendyów, z którychby przeważnie dzieci oficyalistów korzystać mogły!

Kreśląc te słowa, przychodzi mi na myśl, że głos mój to „głos wołającego na puszczy" i niejeden z szanownych czytelników tak pomyśleć może — lecz i wśród puszczy czuwa Bóg na niebie, a ten częstokroć z pomiędzy ludzi na ziemi wykonawców swej woli wybiera.

KRONIKA.

Lwów 7 lipca.

Mianowania. Prezydyum wyższego sądu krajowego we Lwowie zamianowało asystenta rachunkowego Alojzego Wiktora Lewickiego oficyałem rachunkowym, praktykanta rachunkowego Karola Kramarzewskiego asystentem rachunkowym i kalkulanta rachunkowego Władysława Czyżewskiego praktykantem rachunkowym przy wyższym sądzie krajow. we Lwowie.

Lwowski wyższy sąd krajowy zamianował oficyała wyższego sądu krajowego we Lwowie, Emila Matkowskiego adjunktem urzędów pomocniczych sądu krajowego we Lwowie.

Przeniesienie. Minister spraw wewnętrznych przeniósł radzcę Namiestnictwa i starostę Dyonizego Zawadzkiego z Sokala do Tarnopola, starostę Władysława Korosteńskiego z Kolbuszowej do Sokala, oraz poruczył nowomianowanemu staroście Wiktorowi Tustanowskiemu kierownictwo starostwa w Kolbuszowej.

Cesarz pozuje obecnie znakomitemu naszemu malarzowi p. Kazimierzowi Pochwalskiemu do portretu, który otrzyma w darze były ambasador angielski w Wiedniu, August Paget.

Dyetaryusze. Walne zgromadzenie lwowskiego okręgu Towarzystwa dyetaryuszów i urzędników odbędzie się dnia 16 lipca, ewentualnie dnia 23 lipca o godz. 4 po południu.

Stowarzyszenie ma obowiązek najbardziej upośledzonej klasie społeczeństwa, do której należą dyetaryusze, przychodzić z pomocą materyalną, oraz zabezpieczyć im byt na starość, jak również ich żonom i dzieciom.

VII Zjazd lekarzy i przyrodników polskich odbędzie się we Lwowie, w dniach od 18 do 21 lipca 1894 r., tj. równocześnie z wystawą krajową.

Lwowskie Towarzystwo śpiewackie „Echo", urządza w czasie od 2 do 15 sierpnia rb. wycieczkę artystyczną po miejscowościach galicyjskich, a głównie po naszych zdrojowiskach. W wyborowym komplecie 16 śpiewaków odwiedzi „Echo" Truskawiec, Rymanów, Iwonicz, Żegiestów, Krynicę, Szczawnicę, Rabkę i Zakopane, a z powrotem zatrzyma się w Stryju. Dochód z tych 10 koncertów przeznaczyło „Echo" na cele Towarzystwa „Szkoły ludowej". Na program koncertów „Echa" złożyły się wyłącznie utwory naszych kompozytorów. Obok śpiewaków, bierze udział w wycieczce członek „Echa", skrzypek p. Lepianka, nauczyciel gry skrzypcowej w Stanisławowie.

Wycieczka. Na dochód funduszu Stowarzyszenia wzajemnej pomocy członków sztuki drukarskiej we Lwowie odbędzie się w niedzielę wycieczka towarzyska do lasku na Pasiekach, za rogatką Łyczakowską (na prawo).

Związek stronnictwa chłopskiego. Z inicyatywy kilku posłów włościańskich zawiązało się niedawno stronnictwo chłopskie, zwane także „związkiem katolicko-ludowym", który się właśnie przed kilku dniami ukonstytuował na pierwszem walnem zgromadzeniu w Nowym Sączu. Udział wzięło w niem około 250 włościan przeważnie z powiatów nowosądeckiego i limanowskiego. Obrady zagaił poseł Stanisław Potoczek. Na jego wniosek wybrano zarząd, w skład którego weszli: Stanisław i Jan Potoczkowie, Jan Potoczek młodszy, ks. Stanisław Stojałowski, Adam Sikorski, Tomasz Ciągła, Józef Maciuszek i Stanisław Uryga.

Po uchwaleniu regulaminu referował poseł Kramarczyk o projekcie ustawy łowieckiej, Ciągła o projekcie ustawy gminnej, Sikorski o konkurencyi kościelnej. Liczne rezolucye, zaproponowane wśród ożywionej dyskusyi nad referatami, zgromadzenie uchwaliło w całości. W obradach wziął udział także poseł Asnyk, a na cześć jego urządzono wieczorek w „Czytelni kolejowej".

Stowarzyszenie ślusarzy, rusznikarzy, gwoździarzy itp., wystosowało do prezydyum Magistratu petycyę, w której przedstawia jak wielką krzywdę wyrządza się swojskim rzemieślnikom przez powierzanie robót publicznych zagranicznym przemysłowcom. Jeżeli ten sposób postępowania się nie zmieni, wówczas, zdaniem petentów, na nic się nie zdadzą wszelkie subwencye pieniężne ze strony rządu i Sejmu na poparcie przemysłu krajowego, przemysł ten bowiem żadną miarą nie może się rozwinąć, jeżeli rękodzielnik nie będzie miał pracy. To też stowarzyszenie prosi, aby Magistrat i inne władze, rozpisując oferty na roboty publiczne, nie utrudniały tak jak dotąd konkurencyi naszym rzemieślnikom już to przez wyznaczanie zbyt krótkiego terminu do wykonania robót, już też przez inne uciążliwe warunki, ale przeciwnie, aby szły im na rękę i przez to złożyły dowód, że rzeczywiście zależy im na podniesieniu rodzimego przemysłu.

Ze Stryja piszą nam:

Cały muzykalny Stryj znalazł się dnia 1 bm. na dorocznym popisie uczniów szkoły panny Janiny Glojznerówny. Popis składał się z jedenastu punktów. Prawie wszystkie zostały wykonane poprawnie, a jeżeli już komu należałaby się palma pierwszeństwa, to przyznałbym ją p. Marcińskiej, która niemal po mistrzowsku odegrała Lemocha „Reverie".

Przy tej sposobności muszę wspomnieć o prostackiem zachowaniu się studentów tutejszego gimnazyum, którzy chodzą na popisy po to, ażeby po każdym punkcie wrzeszcząc i stukając, wywoływać kilka razy panienkę, która właśnie odegrała jakąś kompozycyę. Są to najwidoczniej drwiny młodzików, a publiczność była niemi bardzo mocno zgorszona. Możnaby temu zapobiedz w ten sposób, żeby wstęp miały tylko osoby zaproszone biletami. Będzie wtedy porządek i wysłuchanie spokojne popisu sprawi gościom prawdziwą satysfakcyę.

Policya tutejsza aresztowała Rudolfa Bortha, handlarza dziewcząt, który w przejeździe przez Stryj zatrzymał się z dwoma dziewczętami w hotelu. Prawdopodobnie wiózł je do Konstantynopola.

Z Czerniowiec nam piszą:

Już niejednokrotnie podnoszono wielki brak świątyń katolickich w stolicy Bukowiny. Miasto, liczące kilkanaście tysięcy katolików, posiadało mały kościółek parafialny z końca zeszłego wieku i niewiele większych rozmiarów zbudowany ostatniemi czasy kościół katolicki obrządku ormiańskiego. Od czasu, kiedy OO. Jezuici osiedli w Czerniowcach, powzięli oni szczytną i piękną myśl wzniesienia tu przybytku godnego Bogu. W dzisiejszych jednak stosunkach, materyalnie tak ciężkich, podobna akcya wydawała się może niejednemu zbyt śmiałym, niemożliwym do urzeczywistnienia. Nie upadli jednak na duchu OO. Jezuici, którzy już przez trzy wieki przebojem idą przez świat i z wytężeniem wszystkich sił zdobywają nowe stanowiska, a zdobytych bronią. Nie zawiodła ich też nadzieja, jaką położyli w ofiarności katolickiego naszego społeczeństwa, na jego tylko licząc pomoc w dokonaniu tego dzieła.

I oto dzięki tej wytrwałości i odwadze dzięki i tej szczodrobliwości, po dwóch latach pracy patrzymy na bliskie już ukończenia dzieło, które na tej niebardzo gościnnej ziemi będzie dla potomnych pomnikiem chlubnym ofiarności społeczeństwa naszego dla wszystkiego, co dobre i wzniosłe. Na przestronnym placu, gdzie już są zaprojektowane plantacye, ulice i nowa dzielnica, przyszłe „Corso" Czerniowiec, pnie się ostrym swym dachem ku niebu przestronna, wysoka, gotycka świątynia. Zewnętrzna część już jakby ukończona, dachówka niepołomicka, ułożona w desenie, lśni się w promieniach słońca; wieżyczki, misternie rzeźbione, zdobią narożne szczyty; olbrzymie ramy kamienne w oknach, czekające na kolorowe witraże, wpuszczają całe strugi światła do wnętrza. Tu wewnątrz w tej chwili najciekawsza i najmozolniejsza robota. Wznoszą właśnie kolosalne ciosowe filary i kładą na nich główne żebra sklepień. Wieża doprowadzona już prawie do połowy swej przyszłej (50metrowej) wysokości. Całość budowy przedstawia się nadzwyczaj korzystnie. Świątyni charakter cały trzymany jest ściśle w czystym starogotyckim stylu. Roboty kamieniarskie, ciosy, wieżyczki i kapitele należą niezaprzeczenie do najpiękniejszych ozdób tego gmachu bożego. Dodajmy jeszcze, że cały ten kościół będzie w zimie ogrzewany. Jest nadzieja, że do najbliższej jesieni prace murarskie zostaną zupełnie ukończone, zimą nastąpi wewnętrzne urządzenie świątyni, a tym sposobem mielibyśmy na przyszły rok w Czerniowcach znów jedną z najpodnioślejszych ceremonii katolickich, bo konsekracyę kościoła najśl. Serca P. Jezusa.

Dzielimy się tą wiadomością z dalekich kresów z czytelnikami *Przeglądu* w tym zamiarze, ażeby wszystkich, którzy na całym obszarze ziem polskich przyczynili się datkami do urzeczywistnienia tej pięknej myśli, upewnić o dobrem zużytkowaniu ich datków i wdowich groszy a o pomyślnym postępie powziętego dzieła. Dzielimy się tą wiadomością i w tej nadziei, że ci, którzy łaskawie dopomogli rozpocząć tę pracę, nie poskąpią i teraz ofiar i darów do jej ukończenenia.

Z Biały donoszą nam, że w okolicy tamtejszej oberwała się chmura i spowodowała wezbranie rzeczki Au wpadającej do Białki w samem mieście Białej. Skutkiem tego woda zalewa piwnice niektórych domów w Białej, a w jednej z piwnic utonęła 80-letnia staruszka Zuzanna Łynek. Szkody wyrządzone w Białej i Lipince wynoszą 200.000 złr.

Przepowiednia o pogodzie. Jeden z naszych ziemian, p. Z. Bogdanowicz z Urytwy, komunikuje nam swoje przepowiednie oparte na spostrzeżeniach meteorologicznych, tyczące się przyszłego stanu pogody. Otóż wedle tych spostrzeżeń będziemy mieli jeszcze przez lipiec deszcze, w sierpniu i wrześniu panować będzie stała pogoda, w październiku na przemian pogoda i deszcze, a w listopadzie stała pogoda.

Wpływ słońca na organizm ludzki. Wpływ słońca na zdrowie ludzi jest nader zbawienny. Licznemi doświadczeniami stwierdzono bowiem, iż w grę wchodzi tu nietylko ciepło, ale i światło słoneczne, które w połączeniu z elektrycznemi, magnetycznemi, chemicznemi i innemi jeszcze dotąd nieznanemi siłami działając, sprawia, że organizm nadwątlony, wyczerpany, a czasami i zrujnowany nawet wraca do pierwotnego stanu jędrności i mocy.

Dość spojrzeć na twarz i postawę człowieka pracującego na wolnem powietrzu i porównać go z t. zw. książkowym mólem, który całe dnie spędza schylony nad stolikiem w zaduszym i ciemnym pokoju. Także górnicy, więźniowie i t. p. ludzie, żyjący w miejscowościach pozbawionych światła słonecznego, mają wygląd wątły, a cerę bladą i niezdrową. Co zaś do usposobienia, humoru i świeżości a ruchliwości umysłu, to i w tem niemałą rolę odgrywa wpływ słońca i jego błogosławionych promieni. O wieleż weselszymi są n. p. Węgrzy i Włosi, a czynniejszymi Francuzi lub Hiszpanie od mieszkańców stref północnych! Jasny, pogodny poranek dobrze usposabia nas na dzień cały, podczas gdy zamroczone niebo i dżdżyste powietrze odbiera nam humor i posępnymi czyni.

Same też chorobowe skłonności, a nawet — co więcej — sama, już w rozwoju będąca choroba, zwłaszcza polegająca na zaburzeniach organów nerwowych lub dróg oddechowych — dalej: wszelki upadek sił, przewlekła rekonwalescencya itp. w zupełności usuniętemi być mogą przez poddawanie się działaniu słońca, sposobem tak zwanych: kąpieli słonecznych.

Stwierdzono, że powietrze ogrzane i oświetlone słońcem, znacznie jest czystszem. Pod wpływem promieni słońca odbywa się bowiem w przyrodzie jedna z najważniejszych funkcyi mianowicie oddychanie roślin, przy czem szkodliwy dla nas kwas węglowy znika a rozmnaża się ilość tlenu. Nadto promienie słoneczne przyspieszają utlenianie t. j. spalanie życiu ludzkiemu szkodliwych i w powietrzu obficie znajdujących się organicznych ciałek, a nawet — według twierdzenia franc. badaczy Arloing i Duchaux — niektóre zabójcze, pasożytne organizmy, wywołujące w naszem ciele choroby zakaźne, giną pod działaniem słonecznych promieni.

A ponieważ — jak to dowodnie wykazali dwaj włoscy uczeni: De Blasi i Susso-Travali, oraz prof. z Bonn dr. Hertz — powietrze nasycone promieniami słońca, jest doskonałym przewodnikiem słonecznej elektryczności, przeto i choroby nerwowe, pod wpływem tych promieni miewają o wiele łagodniejszy przebieg, a nawet ustępują zupełnie.

Zwłaszcza jednak w chorobach płucnych, leczenie za pomocą kąpieli słonecznych nader okazuje się zbawiennem. Wyjaśnia nam to teorya, mocą której ciepło i światło słońca sprzyja szybszemu z organizmu wydzielaniu niepotrzebnego, a nawet dla suchotników bardzo szkodliwego kwasu węglowego, i natomiast ułatwia przyjmowanie przez skórę i płuca większej ilości tlenu, który — jak wiemy — umożebnia przemianę materyi, mogącą jedynie normalny stan zdrowia przywrócić. Dlatego to lekarze tak bardzo zachwalają chorym pobyt latem na powietrzu — spacery po polach — leżenie pod gołem niebem — a przedewszystkiem kąpiele słoneczne. Tych, według metody amerykańskiej, powinno się używać w nadzwyczaj łatwo i praktycznie urządzonych łaźniach, tz. solaryach.

Za model posłużyć może zimowe solaryum przy szpitalu w Nowym Jorku będące. Jest to obszerny domek, o ścianach i o dachu szklannym. Tam przez dzień cały nurzają się chorzy w zbawczych promieniach dobroczynnego słońca i od przeróżnych uwalniają się cierpień. Latem lepiej jednak na zupełnie wolnem powietrzu, gdzieś w ustronnem miejscu, odbywać kuracyę słoneczną. Całe ciało obnażywszy, wystawić je należy na łagodne działanie ukośnie padających promieni, najlepiej rankiem lub popołudniu — przed lub po kąpieli wodnej — przyczem uważać trzeba, aby to nie trwało zbyt długo... a raczej wskazanem jest powolne i stopniowe przyzwyczajanie się do tego rodzaju leczenia...

Stan dróg naszych. Z żydaczowskiego powiatu nam piszą: „Kto smaruje, ten jedzie", mówi przysłowie, a jednakowoż, jak wszystko na świecie, i ta zasada ma swoje wyjątki, u nas przynajmniej nie pomoże ani smarowidło, ani podwójny obrok dla koni, aby na czas do stacyi kolei dojechać, tak fatalne drogi mamy w naszym powiecie. Zacząwszy od rządowego gościńca między Mikołajowem a Wolicą, który dla lepszych wehikułów, nie mówiąc o powozach, jest wręcz niemożliwym, a skończywszy na powiatowej drodze prowadzącej z Kijowca do stacyi Piaseczny; kto tamtędy nie jechał, nie ma wyobrażenia tych tortur dla ludzi i koni, jakie znosić musi jadący: te wyboje, błoto po osie, niezliczona ilość najniepotrzebniejszych mostków, wystających na stopę ponad powierzchnią błotnistej masy, a gdzie nie gdzie kupka nierozrzuconego żwiru — urąga desperackim wysiłkiem dojechania do stacyi. Dodać należy, że stacya Piaseczna jest jedną z najbardziej uczęszczanych na szlaku Lwów-Stryj, gdyż dochód miesięczny ze sprzedaży biletów wynosi przeszło 400 zlr., pomimo, że wiele osób z powodu utrudnionej komunikacyi, nawet ze znacznem przyczynieniem drogi, inną sobie stacyę wybrało.

Jeżdżąc dużo po kraju, miałem sposobność zwiedzić najrozmaitsze powiaty, lecz przyznać muszę, że drogi takiej, jak wyżej opisaną, nie zdarzało mi się widzieć.

O ile mi z wiarogodnych źródeł wiadomem, prestacye drogowe w tym powiecie są wyjątkowo wysokie, mimo to gminy: Kijowiec, Czernica i Piaseczna, po macoszemu traktowane, zmuszone są łamać wozy po drodze.

A cóż dopiero mówić o tylu i tak drogich rogatkach na rządowym gościńcu, którego wyboje i kamienie tu i owdzie nie równo rozrzucone i nie walcowane, kości i głowę podróżnych na szwank narażają.

Uprasza się więc kompetentne władze, by raczyły rozpatrzyć tę sprawę i przeciążonym na ten cel podatkami gminom i obszarom dworskim dawno projektowaną drogę raz wybudować.

Garden parties. Sezonowemi przyjęciami w paryskim *high-life* są obecnie zebrania w ogrodach, tak zwane *garden-parties*. Odbywają się one pomiędzy godziną czwartą a siódmą. U wejścia do letniego salonu stoją amfitryoni, przyjmując gości, których melduje szwajcar w czarnej liberyi, ze srebrnym łańcuchem na szyi. Przybywający ustawiają się w szeregi wzdłuż alei. Tworzy to tłum, nieopisany gwar rozmów, całą tęczę barw. Dopiero gdy wszyscy zaproszeni są w komplecie, gospodarz domu podaje rękę najdostojniejszej z dam, co jest hasłem do rozpierzchnięcia się po całym ogrodzie. Oprócz bufetu i muzyki, nic takich zabaw nie urozmaica. Są one zazwyczaj wystawne, lecz nudne. Najświetniejsze *garden parties* odbyły się w tym sezonie w ogrodach poselstwa angielskiego u margrabiostwa Dufferin, u hrabiny Armand, z domu Gontaut Biron i u hrabiny Greffulhe, urodzonej Caraman-Chimay. Zapowiedziane było *garden party* w ogrodzie ambasady wiedeńskiej, lecz hrabina Hoyos musiała je odwołać, z powodu żałoby na dworze wiedeńskim po śmierci księcia Maksymiliana Bawarskiego, brata cesarzowej Elżbiety.

Lagartijo, słynny toreador hiszpański, który niedawno, z powodu podeszłego wieku, pożegnał się z publicznością i obciął znak swojej „godności", warkocz, zmógł w swojem życiu około 4000 byków. Raniony był dwadzieścia kilka razy, mimo to zawsze wychodził z tych krwawych zapasów bez większego szwanku. Sumę, jaką Lagartijo zarobił na swem rzemiośle, obliczają na pięć milionów pesetów. Nie wiele mu jednak z tego zostało, był bowiem hojnym w wydawaniu uczt dla swych przyjaciół i wielbicieli, nadto czuły na głos wszelkiej nędzy, zrzekając się nieraz chętnie swych honoraryów na cele dobroczynne. Sumka, jaką oszczędził, zapewni mu jednak spokojną starość.

Zmarli. Ksiądz Józef Stolarczyk, proboszcz w Zakopanem, otoczony czcią i szacunkiem tamtejszych mieszkańców, umarł onegdaj.

Stan powietrza. Termometr + 11° Reaumura o godzinie 7 zrana, w południe + 17 stopni Reaum. Barometr 762. Idzie w górę. Dzień piękny i pogodny.

Szczyt galanteryi. Stary kawaler, niestrudzony wielbiciel płci pięknej, znudzony celibatem, postanowił raz skończyć ze sobą.

Wchodzi tedy na czwarte piętro i... rzuca się głową na dół. W przelocie jednak spostrzega w oknie pierwszego piętra śliczną główkę kobiecą. Przykłada palec do ust, przesyła wdzięcznej niewieście całusa i woła:

— Czarująca!...

Poczem leci dalej w przepaść.

Teatr. Dziś w piątek o godzinie pół do 8-mej w teatrze letnim: Produkcye magiczne Chevaliera Thorna. — Jutro w sobotę w teatrze hr. Skarbka „Sapho", sztuka w 5 aktach przez Alfonsa Daudeta i A. Bellot'a. Występ panny Heleny Marcello.

Literatura i Sztuka.

* **Postępowy dramaturg.** Obóz postępowy w Niemczech nadzwyczaj się zachwyca teraz Gerardem Hauptmanem, autorem kilku niesmacznych dramatów, uważanych jednak przez niemieckich postępowców za arcydzieła. Posłuchajmy oto co jeden z członków tego obozu pisze o Hauptmanie i jego utworach:

„Hauptman umie odtwarzać czarne widmo fatalizmu unoszące się nad ludźmi, co pogwałcili prawa sumienia lub usłuchali raz podszeptu wewnętrznego zwierzęcia. Umie wsączać w umysł czytelnika, prawdziwie po ibsenowsku, tę atmosferę puszczyków, kruków kołujących po wyobraźni człowieka, który zlekceważył sobie drażliwość własnego sumienia, ażeby później być przez nie kąsanym, odartym z szacunku dla siebie, ogołoconym z wiary w szczęście, we własne siły.

Dramat „Przed wschodem słońca", pierwszy z większych utworów Hauptmana, robi wrażenie wielkie. Przedstawia on w ponurych barwach nieszczęścia rodziny chłopskiej, którą odkrycie żyły węgla nagle zbogaciło, spanoszyło i zamieniło w stado małp, przedrzeźniających klasę wytworniejszą. Życie tu jest brudne, obrzydliwe, żądze niskie, charaktery małe, sfera cała dyszy poziomością instynktów i ciemnotą, pijackimi nałogami, dziedzicznemi chorobami. Obraz to, mimo pewnej domieszki melodramatu, poważny i na sumiennych studyach oparty.

Jeszcze znakomitszem jest „Święto pojednania" *(Friedensfest)*, albowiem więcej tu złowrogiego ciężaru, przeczuć, niepokojących nastrojów, więcej nieszczęścia wiszącego w powietrzu. Osnowa wprost okropna. Mamy przed sobą rodzinę nerwowców, którzy są z sobą wiecznie na stopie wojennej i we wzajemnem rozdrażnieniu, w poswarkach i utarczkach marnują siły i dosyć wybitne zdolności. Długo nadciągające chmury zionęły wreszcie dramatem. Za niewinnie zelżoną słowami matkę, syn spoliczkował własnego ojca. Obadwaj poszli w świat na tułaczkę i sieroctwo, ognisko domowe rozsypało się, a gdy wreszcie po wielu latach zeszli się na nowo, wszystkich mimo pozorne wybuchy uczucia dławi przymus i nieufność. Dawna hańba nie utonęła w wódce, którą stary usiłował odebrać sobie pamięć. Widmo bijącego syna straszy go bezustannie i wywołuje prawie halucynacye. A gdy ten dla uspokojenia go zbliża się z łagodnym ruchem ręki, ojciec porwany okropnem przypomnieniem, ucieka, pewny, że lada chwila uczuje ową dłoń na sobie i wpada w obłęd śmiertelny. Na wszystkie perswazye ma tylko jeden rozpaczliwy okrzyk, jedną okropną prośbę nieprzytomną: ażeby się nad nim nie znęcano...

Zakończenie to przejmuje najwyższą grozą. Uczuwasz nad sobą czarne, potężne skrzydła mściwej Nemezys. Ibseniści, chcąc iść dalej od swego przewódzcy, lubią podobnymi tematami straszyć i rozdrażniać, lubią gwoli woli efektu krakania wynajdywać sytuacye wyjątkowe, nieprawdziwe, ale Hauptmanowi przyznać trzeba, że pod katastrofę grunt przygotował troskliwie i sumie fatalnych wypadków odpowiada u niego takaż suma warunkujących przyczyn psychologicznych.

W obu powyżej wymienionych dramatach jest Hauptman uczniem Ibsena, dopiero w „Samotnych" zupełnie samym sobą. *Einsame Menschen* nie częstują nas nieodzownym szałem pijackim ani nerwowemi przypadłościami, kwalifikującemi bohaterów do szpitala, nie nękają wyobraźni dziedzicznymi nałogami i chorobami. Pokazują nam nieefektowny, niejaskrawy dramat, rozegrany śród ludzi normalnych i w warunkach zwykłych.

Samotnym jest tutaj młody uczony, którego wolę i polot skrępowali rodzice, zacni i krzepcy, ale ludzie starej daty i ciasnego widnokręgu wraz z żoną kochającą i uczciwą, ale słabowitą, duchem ubogą. Samotną jest także studentka, której pobyt w gościnie u młodej pary przyśpieszył rozłam, była bowiem piękną, silną, samoistną, żywotną a i pod względem umysłowym stanowiła kontrast ze swoją przyjaciółką. Nieznacznie zrodziła się miłość, niebezpieczna dla domowego spokoju. Z wielu stron: przez świadomość własnego błędu i przez otoczenie nękany nieszczęśliwiec, za mało w dodatku przysposobiony do walki ze światem, nie umiał się zdobyć na męstwo odważnego wyjścia z dylematu i po odjeździe studentki utopił się.

Utwór ten czyni prawie wrażenie rozumnej spowiedzi. Tak głęboko jest odczuty, tak misternie jego akcya przeprowadzona, tak nieposzlakowaną tchnie prawdą i znajomością życia. Jeśli czuć w nim coś nakształt żalu osobistego, lub gorącej solidarności z podobnego rodzaju „samotnymi" — to więcej jeszcze uderza w nim wielka bezstronność charakterystyki. Tu nie ma sprawców nieszczęścia, ani ludzi złych, wszyscy są szacunku godni i nad wyraz pociągający, każdy kocha i kocha głęboko, może nawet są przeidealizowanymi. Ale tem potężniejszy jest wynik zbiorowy.

Oto cały dorobek literacki tego pisarza. Przyszłość ma on przed sobą ogromną. Liczy dziś lat zaledwie trzydzieści parę. Zna życie jako włóczęga, zna sztukę jako rzeźbiarz, zna pracę, jako syn tkacza. Kocha społeczeństwo, nie znosi pruskiego militaryzmu, wielbi lud i ubóstwia scenę, której tajniki poznał jak mało kto, i którą wyczerpującymi przepisami dla grających chroni od bezzasadnej swowolności.

W Niemczech grany bywa na równi z Ibsenem. Pokolenie najmłodsze widzi tam w nim pierwszy promyk zorzy literackiego odrodzenia".

Tyle słów tego apologety. Od siebie zaś dodać jeszcze możemy dwie uwagi. Naprzód tę, że w *Samotnych* malował Hauptman siebie i swoje uczucia; zakochawszy się bowiem w żydóweczce warszawskiej, chodzącej na uniwersytet w Zurychu, rozstał się z żoną, którą uważał za osobę prostą, nie mogącą poznać jego wielkiego ducha, i z rodzicami swemi, którzy potępili go za ten romans; a następnie tę, że z podanej tu treści utworów Hauptmana przekonać się łatwo, iż on nic nowego nie wymyślił, a przeżuwa jeno stare temata, do których dorabia zapewne trochę ordynarniejszy sos i dla tego lepiej trafia do gustu współczesnych.

* **Operetka.** Wczoraj dawano „Ptasznika tyrolskiego" w nowej, nie nazbyt szczęśliwej obsadzie; wystawiono słuchaczów na wielką próbę, zmuszając ich do słuchania i kiepskiej niemieckiej muzyki i złego tejże wykonania. Z tem wszystkiem p. T. Pol miał szczęśliwą chwilę w akcie drugim, gdzie go publiczność obdarzyła hojnym oklaskiem za odśpiewanie kupletów. Śpiewak, którego wiek młody usprawiedliwia częstą szarżę, skoro popracuje koło swej muzykalności, może być właśnie dla dobrego temperamentu, szukającego na razie ujścia w wybrykach scenicznych, pożytecznym w charakterystycznych rolach.

Pna Fertner, jako Krzysia, grała dobrze; strona wokalna pozostawia wiele do życzenia. Głos jej, chociaż dość wielki, nie jest wyrównany, wskutek czego nawet lekkie arje wychodzą w jej wykonaniu martwo i nie dość się podobają. *M. Sołtys.*

* **Przegląd powszechny** w numerze za lipiec zawiera: Lichwa na wsi w Galicyi, przez dra Leopolda Caro; Hedenstjerna i Kipling; Związek ludowy przeciw socyalizmowi w Niemczech, przez ks. Czajkowskiego; Baśnie i fałsze w historyi, przez dra Krotoskiego; Aleksander Lorentowicz, studyum literackie, przez Józefa Sasa; Przegląd piśmiennictwa; Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

* **Przegląd polski** wyszedł za lipiec i zawiera: Św. Franciszek z Asyżu i gotycyzm włoski, przez Juliana Klaczkę; Cesarz Adryan, przez Kazimierza Morawskiego; Ze wspomnień sybirskiego zesłańca; „Dies irae", misteryum fantastyczne, przez Łucyana Rydla; Czterdzieści lat pobytu Anglika w Paryżu; Kronika literacka; Przegląd polityczny; Józef Supiński, wspomnienie pośmiertne, przez dra Władysława Pilata.

Rozmaitości.

— **Stara panna i pies.** Stara panna, licząca 42 wiosny, stała mieszkanka Ulmu, miała pieska, do którego przywczaiła się i przywiązała niezmiernie. Pies ten atoli słynął z niesłychanej zajadłości, rzucał się na ludzi i kąsał ich ustawicznie. W skutek skarg poszkodowanych magistrat Ulmu rozkazał odebrać go właścicielce i zabić. Oprawca miejski spełnił pierwszą część polecenia, zabicie zaś psa odłożył na dni kilka. Przez ten czas stara panna odwiedzała codziennie jego domek, stojący na krańcu miasta, znosiła swemu ulubieńcowi najrozmaitsze łakocie, a oprawcy równocześnie ofiarowywała 50 marek, byle tylko zwrócił jej psa. Przytem zaręczała mu, że cała rzecz utonie w zapomnieniu, gdyż natychmiast po odebraniu psa odjedzie z nim do Anglii i tam się na stałe osiedli. Wszystko atoli było naprożno; oprawca psa zabił, a jego panią oskarżył przed sądem o zamiar przekupienia „urzędnika". Trybunał uznał winę oskarżonej i skazał ją na 50 marek kary.

— **Student** *fin de siècle.* Dobrowolnie przepaść przy egzaminie, to coś zupełnie nowego, a jednak niedawno wypadek taki miejsce w uniwersytecie wiedeńskim.

Przed komisyą egzaminacyjną stanął pewien słuchacz medycyny, znany zarówno z pilności jak i z wielkiego uzdolnienia. Egzaminujący go profesorowie: Albert, Fuchs, Hofmann i Kaposi, byli zachwyceni odpowiedziami kandydata, więc zgodnie wciągnęli mu do protokołu stopień „znakomicie". Przy zielonym stole egzaminacyjnym zjawia się nakoniec słynny akuszer prof. Chrobak, także zupełnie spokojny o egzaminowanego kandydata. Zadaje pierwsze pytanie, kandydat milczy; zadaje drugie, znów uporczywe milczenie. Zmięszany profesor przypomina egzaminowanemu, iż niepodobna, żeby na pytania te nie umiał odpowiedzieć, ponieważ przy praktycznym egzaminie z położnictwa uzyskał już stopień „znakomicie". Zadaje więc trzecie i ostatnie pytanie, ale i tym razem nie otrzymuje żadnej odpowiedzi. Nie pozostaje więc nic innego, jak tylko wciągnąć do protokołu stopień „niedostateczny" i tym sposobem zmusić kandydata do ponownych studyów.

O to mu właśnie chodziło, jak się niebawem okazało. Chciał on koniecznie jeszcze kilka miesięcy studyować na uniwersytecie obraną specyalność! gdyby zaś złożył był egzamin i otrzymał już teraz stopień „doktora wszech nauk lekarskich", utraciłby niektóre stypendya i musiałby opuścić Wiedeń celem objęcia posady na prowincyi, co właśnie należało do warunków owych stypendyów. Uniknął tego skutkiem upadnięcie przy egzaminie.

Głosy publiczności.

Ciąg dalszy składek na kościół na przedmieściu „Zasanie" w Przemyślu.

Ks. N. N. 40 złr., N. N. 100 złr., Jan Mach 2 złr., Derdelewicz z Krakowca 2 złr., ks. arcybiskup Morawski 100 złr., ks. Wojciech Mach z Chyrowa 5 złr, za pośrednictwem ks. kanonika Łękawskiego 6 złr., Tercyarze św. Franciszka w Tarnopolu 1 złr., M. S. z Wiśniowczyka 50 złr., przez p. Jaworską 3 złr., z listy ks. Fałata z Przemyśla 9 złr 50 ct., Tomasz Patryn z Przemyśla 5 złr., sąd powiatowy w Brzozowie 4 złr, kandydatki 2 roku seminaryum żeńskiego w Przemyślu 3 złr., z listy urzędu loteryjnego we Lwowie 4 złr. 20 ct., ks. T. z Ławrowa 3 złr., z listy Dyrekcyi skarbowej w Stanisławowie 5 złr., ks. Józef Gawiński 5 złr., Emilia G. z Medynic 1 złr., hr. Edmund Krasicki z Liska 10 złr., ks. Praszałowicz z Liska 5 złr. 60 ct., parafianie z Liska 5 złr. 40 ct., ks. L. Urban z Liska 5 złr., rada powiatowa w Bochni 5 złr., ks. Cwiąkała z Ameryki 5 złr., z listy p. L. Dietza w Przemyślu 12 złr., i ze składek miejscowych 26 złr.

Komitet poczuwa się do miłego obowiązku złożyć publicznie zacnym i czcigodnym Ofiarodawcom serdeczne „Bóg zapłać" z tem, że już teraz odprawia się za tych dobrodziejów nabożeństwo.

W Przemyślu, dnia 6 lipca 1893.

Za komitet ks. kanonik *Jakób Federkiewicz* jako prezes, *Tomasz Patryn,* sekretarz.

Sport.

W dziennikach zagranicznych wyczytujemy wiadomość, że ze stada P. E. Blanc'a skradziono pięć wielkiej wartości klaczy czystej krwi. P. E. Blanc ma dwie stadniny, a mianowicie jedną w Villebon a drugą w La belle Saint-Cloud. Dzienniki nie podają w której stadninie kradzieży dokonano, co ostatecznie na jedno wychodzi, bo obie położone są w najbliższem sąsiedztwie Paryża.

Widocznie Francya w przyjaźni swojej dla Rosyi idzie tak daleko, że stara się naśladować jej instytucye i obyczaje, pomiędzy któremi jak wiadomo, nieposlednie miejsce zajmuje koniokradztwo i uchodzi bezkarnie..

* *

Szereg biegów „Derby" w środkowej Europie t. j. biegów dla koni trzyletnich na metę 2400 mt. zakończyło niemieckie („Deutsches Derby"), które rozegrało się w Hamburgu dnia 25 czerwca b. r.

Bieg ten założony od roku 1869, więc w roku bieżącym biegany po raz 25, w tym przeciągu czasu 10 razy został wygrany przez konie austro-węgierskie. Raz nawet, mianowicie w roku 1875 zdarzyło się, że dwa konie austro-węgierskie zrobiły t. z. martwy bieg, to znaczy, że przyszły razem do mety. W ogóle wyścig ten niezwykle często kończy się takim martwym biegiem, bo w ciągu 25 lat wydarzyło się to cztery razy.

I w tym roku przyszły równo król. prus. głośnego stada w Graditz kaszt. ogier 3 letni „Geier" i kap. Spieckermanna gn. ogier „Gardenberg" i podzieliły się nagrodą. Połowa tejże dla każdego z nich wyniosła po 29.600 mark. Trzecim za niemi był austro-węgierski koń jen. A. v. Kodolitsch'a „Lieber Kerl". Przypomnieć wypada, że w roku przeszłym tegoż jenerała v. Kodolitsch'a ogier 3 l. „Espoir" ten bieg wygrał. Jeszcze jeden koń austro-węgierski brał w r. b. udział w tym biegu, mianowicie P. A. v. Pechy'ego ogier kaszt. „Crackshot", ale przyszedł między ostatniemi.

Derby Hamburskie założone jak wyżej wspomnieliśmy w r. 1869, przez długie lata nosiło nazwę „Norddeutsches Derby", dopiero w ostatnich latach przechrzczono je na „Deutsches Derby".

W roku założenia wygrana wynosiła 1950 talarów, t. j. 5850 mark. W przeszłym roku jen. A. v. Kodolitsch'a „Espoir" wygrał 61.000 mark. W roku bieżącym podzielona na dwie połowy nagroda wynosi razem 59.200 marek. Suma nagród w tym biegu wygranych od lat 25 wynosi razem 800.850 mark.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 5 lipca.

(Z). Kontrmina berlińska dała dziś spokój naszym walorom a wzięła się znów z całą natarczywością do papierów meksykańskich. Nie wiele jednak mogła ona dziś zaszkodzić naszym rentom, popyt bowiem o nie tu na miejscu był tak olbrzymi, że gdyby było i trzy razy tyle materyału wystawionego na sprzedaż, to znalazłby on nabywców. Jakoż podniosły się one znakomicie, majowa dosięgła kursu 98, a i obie nowe renty koronne były bardzo poszukiwane i poszły w górę w cenie. Żwawy obrót panował także na targu walorów bankowych, tylko kolejowe zeszły na szary koniec. Rozruchy paryskie nie wywierają żadnego wpływu ani na naszą ani na berlińską giełdę.

Z Nowego Yorku donoszą, że rząd Stanów Zjednoczonych postawi na kongresie kategoryczny wniosek całkowitego zniesienia bilu Shermana. Szkody, jakie ponosi państwo i cały świat handlowy Stanów Zjednoczonych skutkiem przesilenia na targu srebra wynoszą bajeczne sumy. — I tak na mocy bilu Shermana zakupił rząd 156 tysięcy uncyi srebra, za które zapłacił 147 milionów dolarów, a wedle dzisiejszej ceny targowej warte jest to srebro tylko 92 milionów dolarów. Strata kursowa w rozmaitych walorach amerykańskich wynosi przeszło miliard dolarów. Od Nowego roku skutkiem spadku ceny srebra zbankrutowało w Stanach Zjednoczonych 6400 firm, których pasywa wynoszą kilkaset milionów.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 338·—, węgierskie 411·75, Anglobanki 152·75, Uniony 251·50, Bankvereiny 122·50, Länderbanki 248·50, Ludwiki 217·—, Czerniowieckie 257·—, Renta papierowa 97·95, srebrna 97·65, austryacka złota 117·95, 4% austr. renta wal. kor. 97·20, węgierska złota 115·85, 4% węgierska renta wal. kor. 94·95, dukat 5·85, 20-frankówka 9·82½, marki 12·13—, ruble 1·30½.

Wiec katolicki.

(Telegram „Przeglądu").

Kraków 7 lipca.

Pogoda prześliczna. Słońce płonąc na swym wspaniałym tronie na zachodzie, słało ostatnie blaski na ziemię, gdy tłumy publiczności dążyły ku sali „Sokoła", aby wziąć udział w ostatniem uroczystem posiedzeniu wiecu. Salę publiczność zapełniła po brzegi. Na galeryi zasiadły panie. Na estradzie zajęli miejsca książęta Kościoła i dygnitarze duchowni i świeccy, w uroczystych strojach. Na kilka chwil przed rozpoczęciem obrad wszedł do sali nuncyusz papieski Agliardi w towarzystwie ks. kardynała Dunajewskiego. Powitano go okrzykiem: „niech żyje!" Gdy nuncyusz zajął swe miejsce w środku między biskupami, przewodniczący p. Gorayski zagaił obrady. Wyraził radość swą z tego powodu, że dzisiejsze posiedzenie zaszczycił obecnością swą wysłannik papieski, dodając obradom blasku i złożył mu w imieniu zgromadzenia serdeczne za to podziękowanie.

Następnie ks. prałat Chotkowski odczytał odpowiedź nadesłaną w imieniu Ojca św. przez kardynała stanu Rampollę na telegram wystosowany przez wiec na pierwszem uroczystem posiedzeniu. Owóż Ojciec św. przyjął łaskawie wyrazy synowskiej miłości i wierności wyrażonej mu przez zgromadzenie katolików Polaków i Rusinów wiecujących w Krakowie, a nader miłe sercu Jego były życzenia wiecowników, aby Stolica św. mogła używać w pełni wolności i praw jej należnych. W końcu przesłał Ojciec św. zgromadzonym życzenie, aby obrady ich jak najpomyślniejsze wydały owoce i udzielił zebranym apostolskiego błogosławieństwa. Po wysłuchaniu telegramu zgromadzeni wznieśli trzykrotny okrzyk na cześć Chrystusowego Namiestnika.

Telegramy z życzeniami dla wiecu nadesłali ks. arcybiskup Stablewski, biskupi: Likowski, Andrzejewski, Puzyna, hr. Silva-Tarouсса, prezes wiecu katolickiego w Lincu, arcybiskup Madrytu, junta centralna wieców katolickich w Hiszpanii, stow. akademików katolickich w Madrycie, Barcelonie, poseł do Rady państwa Doblhammer, klasztor benedyktyński na Morawie (po czesku), redakcya *Vaterland'*u z Wiednia, pol. kath. Cassino w Leopoldstadzie w Wiedniu, Tow. św. Wincentego a Paulo ze Lwowa, redakcya *Linzer Volksblatt'*u, ze Stryja 350 rzemieślników z warsztatów kolei państwowej, ks. Ruczka, nadto nadeszły telegramy z Madrytu, Lublany (2), Stryja, Brixen, z Darmstadtu, z Lille, z Torunia, od obywatelstwa polskiego i wielu innych miast.

Gdy odczytano wszystkie telegramy, przewodniczący udzielił głosu ks. prałatowi J. Gnatowskiemu, który mówił o encyklice „Rerum novarum"; po nim przemawiał prof. dr. Kazimierz Morawski na temat „Znaczenie stowarzyszenia w chrześcijańskim świecie".

Kulminacyjnym punktem wczorajszego posiedzenia była mowa prof. dr. Stanisława hr. Tarnowskiego, prezesa Akademii Umiejętności: „O niebezpieczeństwach grożących Kościołowi w naszym kraju". Ze znaną sobie oratorską swadą, z głębokiem przejęciem się, mówił długo, a wymową swą porwał słuchaczy, którzy słowa jego ciągłymi przerywali oklaskami. W mowie swej pełnej głębokich, trafnych i żywotnych poglądów, mówca poruszył bardzo wiele ważnych spraw. W krótkiem telegraficznem doniesieniu trudno dokładnie streścić tę piękną mowę. Zaznaczymy tylko, iż wielką burzę oklasków wywołał ten ustęp mowy, w której hr. Tarnowski mówił o tem, dlaczego na wiecu nie poruszono sprawy prześladowania Kościoła polskiego pod rządem rosyjskim. „O tem opowiadać tu nie możemy, mówił. Ale jeśli mówić nie będziemy, to może kto pomyśleć, że tam panuje czysta wolność, że tam nabożeństwo i Boże słowo kwitną pod pogodnem niebem. Niestety tak nie jest. Panuje tam ucisk, lecz my o tem opowiadać tu nie możemy, bo każda skarga wolno tu podniesiona, zemściłaby się tam sroższym uciskiem, gorszą niewolą". W dalszym ciągu wspominał mówca o niebezpieczeństwach grożących Kościołowi w naszym kraju, z których jedne walą weń z zewnątrz, inne zaś tkwią w nas samych. Mówił także szeroko o kwestyi żydowskiej. Za prześliczną mowę podziękowali mu zebrani długotrwającymi oklaskami, książęta Kościoła złożyli mu gratulacye.

Nuncyusz Agliardi w łacińskiej przemowie wyraził swą radość, iż może brać udział w pierwszym katolickim wiecu sławnego narodu polskiego i ruskiego, życzył obradom powodzenia i błogich owoców, a w końcu udzielił zgromadzonym apostolskiego błogosławieństwa.

W końcu przemówił marszałek wiecu p. August Gorayski. Złożył podziękowanie komitetowi przygotowawczemu, a przedewszystkiem ks. kardynałowi Dunajewskiemu za przyprowadzenie myśli wiecu do skutku, książętom Kościoła i duchowieństwu wszystkich trzech obrządków za udział w wiecu, nuncyuszowi za uświetnienie go swem przybyciem. W końcu dalszą czynność wiecu oddał czterem komisarzom wiecu, którzy czuwać mają nad przeprowadzeniem rezolucyi przez wiec uchwalonych.

Komisarzami tymi wybrano jednogłośnie pp.: prof. dr. Henryka Jordana, dr. Włodz. Kozłowskiego, prof. dra Pilata i księcia Pawła Sapiehę.

Mowę swą zakończył p. Gorayski okrzykiem na cześć Leona XIII i Cesarza, poczem oświadczył iż zamyka obrady pierwszego wiecu katolickiego w Krakowie. Zgromadzeni okrzyk na cześć Ojca św. i Cesarza trzykrotnie powtórzyli, poczem wznieśli jeszcze okrzyk na cześć marszałka wiecu p. Gorayskiego i na cześć ks. prałata Chotkowskiego i komitetu.

Na tem się obrady wiecu o godzinie 9-tej wieczorem zakończyły.

Po posiedzeniu tem odbyła się w sali krak. Tow. ubezpieczeń wspólna uczta. Zasiadło do niej mnóstwo osób: książąt Kościoła, duchownych, magnatów, szlachty, mieszczan i włościan. Podczas uczty wznoszono wiele toastów, a zabawa wśród wesołej rozmowy i ogólnego ożywienia przeciągnęła się do późnej nocy.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 7 lipca. Na błoniach w Egendorfie koło Wiener-Neustadt, gdzie artylerya ćwiczy się w strzelaniu ostrymi nabojami, eksplodowała wczoraj bomba skutkiem nieostrożnego obchodzenia się z nią żołnierzy. Trzej artylerzyści odnieśli ciężkie rany, a kilku jest lekko pokaleczonych.

Dyrekcya towarzystwa „Staatsbahn" ogłasza, że odtąd wypłacać będzie kupony od swych obligów bez potrącania podatku dochodowego, a właścicielom tych kuponów, którym przy wypłacie w dniu 1 września z. r. potrącono podatek, zwróci potrąconą kwotę 75 centimów od każdego kuponu. W ten sposób załatwiony został stanowczo zatarg między tą koleją a właścicielami jej obligów, który dał powód do wykreślenia akcyi Staatsbahnu ze wszystkich giełd niemieckich.

Londyn 7 lipca. Do „Biura Reutera" donoszą z Honolulu, że wykryto tam sprzysiężenie rojalistów, którzy chcieli obalić obecny rząd republikański i przywrócić królestwo. Spiskowcy mieli zamiar opanować gmach rządowy ewentualnie dynamitem wysadzić go w powietrze. Uwięziono trzech Anglików wplątanych w ten spisek. Między spiskowcami znajdowało się dziesięciu dawnych ministrów.

Ślub księcia Yorku z księżniczką Teck odbył się wczoraj z wielką okazałością. Ludność witała entuzyastycznie młodą parę, osobliwie pannę młodą.

Madryt 7 lipca. Stan zdrowia jest w całej Hiszpanii bardzo dobry.

Maurowie w Alhucemas napadli znienacka żołnierzy hiszpańskich łowiących ryby i ranili ciężko czterech.

Belgrad 7 lipca. Skupczyna przyjęła w pierwszem czytaniu ogólną taryfę cłową z niektóremi poprawkami. Wniosek Cirkowicza, aby chmiel zupełnie uwolnić od cła, przyjęto jednogłośnie, pomimo, że rząd domagał się nałożenia cła 60 dinarów od 100 kilogramów. Zniżono także cło od śliwek suszonych, pomimo opozycyi ministra finansów.

Paryż 7 lipca. Romansopisarz Guy de Maupassant umarł wczoraj.

Centralną giełdę robotniczą na placu Chateau d'Eau zamknięto wczoraj i obsadzono ją wojskiem i policyą. Ponieważ zachodziła obawa, że z tego powodu wybuchnąć mogą wieczorem rozruchy, przeto rząd zdwoił czujność. Dzień wczorajszy przeszedł spokojnie. W kwartale łacińskim nie było żadnego ekscesu. Dopiero około godziny 11 wieczorem zebrały się w kilku ulicach ogromne tłumy ludzi, wszelako wojsko i policya wystąpiło w takiej sile, że do poważniejszych awantur nie przyszło.

Peszt 7 lipca. Do dzienników tutejszych donoszą z Szatmaru, że komisya urzędowa, która się tam udała celem zbadania owych kilku podejrzanych wypadków zasłabnięcia, orzekła, że w jednym z tych wypadków ma się do czynienia prawdopodobnie z cholerą azyatycką. Przedsięwzięto więc wszelkie możliwe środki ostrożności.

Praga 7 lipca. Wczoraj, jako w 400-letnią rocznicę spalenia Hussa, próbowano w kilku punktach miasta urządzić demonstracye, policya jednak miała się na ostrożności i stłumiła te próby w zarodku. Aresztowano cztery osoby.

Berlin 7 lipca. *Boersen-Courrier* donosi, że carewicz przybędzie tu we wtorek i zabawi dwa dni.

Paryż 7 lipca. Członkowie izby deputowanych, tudzież rady miejskiej chcieli się wczoraj zgromadzić w ratuszu celem wspólnej narady nad ostatniemi zajściami. Prefekt departamentu Sekwany kazał jednak obsadzić wejścia do ratusza, zabronił urządzenia tego zgromadzenia i oświadczył, że tylko członków rady miejskiej wpuści do sali obrad.

Deputowani i członkowie rady miejskiej protestowali przeciw temu zarządzeniu, wystosowali jednak odezwę do ludności, w której ganią wprawdzie policyę, ale zaklinają ludność, aby zachowywała się spokojnie.

Półurzędowe pisma donoszą, że prefekt Sekwany działał w tym wypadku w myśl instrukcyi prezesa gabinetu p. Dupuy, który oświadczył, że nie dopuści do tego, aby wytworzyła się jakaś instytucya pośrednia do krytykowania działalności organów rządowych, odpowiedzialnych za swe czynności.

Matin donosi, że 170 syndykatów robotniczych oświadczyło się za urządzeniem powszechnej bastówki.

Paryż 7 lipca. Dzienniki donoszą, że prezes ministrów Dupuy podpisał już dekret, rozwiązujący paryzką radę miejską.

Na ulicy Saint-Maux wzniesiono wczoraj wieczorem barykady. Na policyę strzelano z rewolwerów i karabinów, rzucano na nią garnkami i kawałkami żelaza. Kilku policyantów raniono lekko.

Na bulwarze Voltaire oblano jeden wagon tramwajowy naftą i podpalono.

Manifest deputowanych i członków rady miejskiej wzywa obywateli, aby nie zważali na prowokacye jednodniowego rządu, posługującego się bronią z czasów cesarstwa.

Przyjechali do Lwowa

dnia 7 lipca 1893.

HOTEL FRANCUSKI. Hrabina O. Borkowska ze Szlachciniec. Baronowa M. Soeldenhofen z Sadowej Wiszni. F. Janowski z Rożniatowa. Dr. A. Nyari z Buda-Pesztu. Pułk. E. Fournier z Znaimu. E. Thiemen z Wiednia. R. Nicolaevitsch z Belgradu. W. Majewski z Warszawy.

HOTEL EUROPEJSKI. K. Szczepański z Łapczyna. E. Rylski z Dłużniowa. M. Morgenstern z Berlina. F. Eissler z Pragi. K. Zubek z Zarzecza. G. Györi z Wiednia. H. Weiss z Dembicy. A. Koch z Wiednia. W. Stachowski z Litwy. L. Festl z Kaschau. H. Stecki z Wołynia.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 7 Lipca godz. 2. min.

Akcye kred.	339·25	Galicyj. obligi propinacyjne	98.—
Alpiny	52.90	Wied. losy	176·—
Kredyty węg.	414·—	Akcye tyton.	183·50
Anglobanki	152·—	4% Poż. kraj. z r. 1893	96.50
Uniony	252·—	Elbethale	238·—
Ludwiki	217·75	Länderbanki	250·30
Nordbany	289·—	Renta zł. węg.	115·70
Lombardy	103.75	Bankvereiny	122·25
Losy tureckie	49·—	Węg. renta p.	94·80
Staatsbahny	309·35	Ruble	1.30·50
Czerniowieckie	257·—		

Usposobienie lepsze.

Lwów. Z Izby handlowej 7 lipca 1893.

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	216 —	219 —
„ Lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a.	256 —	259 —
Banku hipotecz. galic. 200 zł. w. a.	360 —	— —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	— —	215 —
Listy zastawne za 100 zł.		
Banku hip. galic. 5% los. w lat. 40	101 —	101 70
Banku hip. galic. 5% z 10% pr.	110 —	110 70
Banku hip. 4½% wa. los. w 50 lat.	100 —	100 70
Banku krajowego 4½% wa.	100 50	101 20
Tow. kred. galic. 4% I-sza emisya	98 25	— —
„ „ „ 4% „ 41 l.	98 25	— —
„ „ „ 4½% „ 52 lat	100 —	100 70
„ „ „ 4 „ 56 lat.	98 50	— —
4. Obligi za 100 zł.		
Galic. fund. propinacyjnego 4½	97 90	98 60
Bukow. fund. propin. 5% w. a.	102 25	— —
Kom. banku kraj. 5 pro. w. a. II em.	102 25	— —
Pożyczka kraj. 6%	105 —	— —
„ „ 4½%	100 40	101 10
„ „ 4%	96 20	— —
„ „ 4% koronna	96 35	97 05
5. Losy.		
Losy miasta Krakowa	23 —	25 —
„ Stanisławowa	39 —	42 —
6. Monety.		
Dukat holenderski	5.80	5.90
Napoleondor	9.77	9.87
Półimperyał rosyjski	9.90	—.—
Rubel rosyjski srebrny	1.29 —	1.32 —
„ „ papierowy	1.29½	1·30½
100 marek niemieckich	60 20	— 60 80

65)

FATALNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez

A. B. EDWARDA.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Harting.

(Ciąg dalszy).

— O! biedni ludzie! I kiedyż to się stało?

— Dawno już, ze dwadzieścia lat temu, a może i więcej. Dziś trawa porosła to miejsce, a roślinność przystroiła gruzy, ale gdy tu przybyłem po raz pierwszy, znalazłem istną pustynię. Ale cicho... co to za odgłos?

Zdziwieni, wstrzymaliśmy oddech, nadstawiając ucha. Zrazu doleciało nas kilka ostrych, oderwanych tonów, potem naraz, gdzieś w powietrznej przestrzeni, po nad naszemi głowami, rozbrzmiała dziwnie urocza, srebrzysta melodya, którą wiatr z aromatem ziół alpejskich niósł ku nam, rozwiewając ją cichemi jęki po polu.

Przystanęliśmy zdumieni, wpatrując się w siebie pytająco, aż nareszcie Hugon szepnął:

— Znajdujemy się widocznie na zaczarowanym gruncie. To muzyka, którą zwabiony Ferdynand dał się zawieźć aż do zaklętej wyspy.

— Powiedz raczej, że muszą tu być gdzieś harfy eolskie, ukryte między skałami — rzekłam. — Pójdźmy je odszukać.

— Idź sama, prozaiczna kobieto. Ja pójdę szukać Aryela.

Ale otóż na zakręcie drogi cała tajemnica wyjaśnia się naraz. Zaczarowana muzyka, taka słodka i dzika zarazem, okazuje się echem powtarzanem przez skały. Aryel jest prostym pastuszkiem, dmącym w duży róg myśliwski dla rozerwania nudów i samotności.

* * *

Zwiedziliśmy kolejno Thun, Berno, Gemmi i Lenkerbad i cały Oberland zostawiliśmy za sobą; droga nasza ciągnie się teraz wzdłuż doliny Rodanu. Przybyliśmy do Lenkerbad wczoraj o zmroku, a dziś rano podążamy dalej wzdłuż smutnych i nawpół rozwalonych ulic starego miasteczka, mijając kościół, zamek strzeżony czterma narożnemi basztami i sklepiony staroświecki most, rzucony wpoprzek Rodanu. Potem jedziemy czas jakiś kamienistym gościńcem, wysadzanym młodemi drzewami i wkraczamy w okolicę winnic, których niezmierzona okiem perspektywa roztacza się przed nami niby krajobraz mistrzowskiego pędzla Tyrnera. Długie, splątane łodygi winnej latorośli, obciążone złotawym dojrzałym owocem, pełzają w dół po spadzistości każdego pagórka przystrojonego zielenią; za nami czarne czeluście Gemmi majaczą jeszcze w oddali, a tam, na dalekim widnogręgu, śnieżne szczyty Alp rozpływają się w lazurach.

W miarę, jak posuwamy się dalej, mijając wioski, miasteczka i winnice, gdzie odbywa się właśnie winobranie, krajobraz nabiera coraz więcej włoskiego charakteru. Pocztylion pełnym kłusem puszcza konie po źle wybrukowanych ulicach Sierry, gdzie wysokie, nawpół zrujnowane domy wznoszą się szeregiem ze sklepionemi arkadami u spodu, a włoskie szyldy i napisy widnieją nad kramami. W Sionie, na zakręcie ulic spotykamy starych mnichów w wytartych habitach, przepasanych powrozem, i piękne młode kobiety, które wychylają się przez okno, aby nam się przypatrzyć. Gospodarskie zabudowania we włoskim stylu, tu i owdzie malowniczo rozrzucone po dolinie, bieleją wśród zieleni oplatających je winnych krzewów, które pną się po ścianach, czołgają po ziemi, pokrywając bogactwem swem całe góry i doliny. Wesołe gromady robotników, z twarzą spaloną od słońca, krzątają się ochoczo około zbioru purpurowych gron, wyzierających z pod liści. Ciężkie wozy, naładowane owocem, ciągną przez gościniec do ustawionej w polu szopy, gdzie pół tuzina barczystych parobków, uzbrojonych w krótkie pałki, tłoczy owoce do olbrzymiej kadzi. Mijamy po drodze dwóch, czy trzech poważnych Abbatów w nasuniętych na oczy szeroko-skrzydłych kapeluszach, i brata kwestarza, który kroczy szybko przed siebie, ślady drewnianych sandałów zostawiając na przydrożnym pyle. Słońce chyli się ku zachodowi, gdy dojeżdżamy do słynnej Muszkatułowej winnicy, gdzie winobrańcy częstują nas gościnnie wonnym swoim zbiorem. Srebrzysty głos kościelnej sygnaturki płynie zdaleka ku nam po wieczornej rosie, zwołując wiernych na Anioł Pański. Spracowani robotnicy długim, przerywanym sznurem zaczynają ściągać z pola ku domowi, a przed nami rozciąga się wciąż w dal niezmierzona okiem droga, wysadzana srebrnolistnemi topolami, wyprostowanemi jakby świece. Znużona tulę się w objęcia mego męża, który dla zabawienia mnie opowiada różne anegdoty, legendy miejscowe i baśnie zrodzone w bogatej wyobraźni ludowej. Cichy zmrok powoli zapada nad światem; blade gwiazdy jedna po drugiej zapalają się na niebie, a my, upojeni ciszą, poezyą i miłością zapominamy o zmęczeniu aż do chwili, gdy powóz nasz zatrzymuje się przed zajazdem małej wioski Martigny.

* * *

Jesteśmy we Włoszech. Śniegi góry świętego Bernarda i doliny Piemontu zostawiliśmy za sobą. Zwiedziliśmy Turyn, Aleksandryę i Genuę, gdzie co godzina deszcz następuje po słońcu i naodwrót. Mamy znów pogodę jasną, ale chłodną, z której korzystając podróżujemy wolnymi przystankami wzdłuż rozkosznej Riwiery. Cały dzień widzimy przed sobą błękitne morze, którego cichy szum kołysze nas do snu, gdy zatrzymujemy się na nocleg w zacisznej jakiejś przydrożnej chatce. Gdy poranek jest ciepły i pogodny, pijemy śniadanie na tarasie naszej „osteryi", przypatrując się rybackim czółnom, wypływającym na morze i dzieciom, bawiącym się w piasku. Czasem znów godzinami całemi błądzimy wśród skał, lub w maleńkiej łódce, ozdobionej fantastycznymi żaglami, krążymy po falach wzdłuż morskiego wybrzeża.

— Prawdziwie, Plutarch miał bardzo dobry gust — rzekł raz Hugon, gdy siedzieliśmy we dwoje nad zatoką, przypatrując się zachodowi słońca.

— Plutarch? Dlaczego? — spytałam, budząc się z zadumy.

— Dlatego, że zauważył gdzieś, iż najprzyjemniejsze podróże na lądzie są te, które odbywamy w pobliżu morza, a na morzu te, w których nie tracimy lądu z oczu. I miał słuszność. Sprzeczność, w połączeniu z kombinacyą, są zasadniczym żywiołem malowniczości. Salwator Rosa, jakiekolwiek były jego błędy, umiał pojmować i wyzyskiwać stosunkowe zalety lądu i morza. Ten krajobraz nieraz przywodzi mi na myśl utwory jego pędzla.

— Ależ nieraz słyszałam jak go krytykowałeś.

— Tak, za jego niebieskie góry i nienaturalne nieba, za wszystko zresztą, wyjąwszy wyboru jego przedmiotów. Ale to mi przypomina, że nie zdjęłaś jeszcze ani jednego szkicu od chwili, kiedy opuściliśmy Paryż.

— Rozpróżniaczyłam się, to prawda.

— Okropnie. Odpokutujesz za to jutro, rysując mi w albumie tę oto granitową skałę, ocienioną wachlarzami szerokolistnych palm i tę przystań rybacką z nawpół rozbitem czółnem, przytwierdzonem do brzegu. To ubarwienie skały, z każdej szczeliny której wyrastają pęki dzikich, kolczastych kaktusów, samo przez się stanowi ciekawe studyum dla artysty.

— Tak; ale ty zrobiłbyś to sam równie dobrze, a może i lepiej odemnie. Czy nigdy już teraz nie malujesz, Hugonie?

— Przynajmniej bardzo rzadko.

— A jednakże jesteś prawdziwym artystą. Zachowałam dotąd w pamięci te wielkie foliały w Broomhill, pełne szkiców, zdjętych twoją ręką. Uporządkuj je, gdy powrócimy do domu. Do domu! Jak to dziwnie brzmi Hugonie!.. Po tylu latach!..

— Tak — posępnie odparł mój mąż. — Byłaś wtedy małą dziewczynką, Barbarino... a ja... Ha!.. *tempora mutantur!*

— I zobaczę się z moją ciotką, i...

— Z ciotką — przerwał Hugon niecierpliwie. — Ona już dotąd zapomniała o tobie.

— Wiem o tem; wyrugowała mnie ze swego serca za cudze winy. Bolesnem to jest, a jednakże uczucie moje dla niej nic się nie zmieniło i dziś kocham ją tak samo, jak dawniej. Nie wiem ile razy zbierałam się napisać do niej, a zawsze oparłam się pokusie, nie chcąc jej się narzucać z przywiązaniem, o które dbać przestała.

— Moja biedna maleńka!

— Nie nazywaj mnie biedną... Jam dziś bogata, mój najdroższy! bogata całym skarbem szczęścia i miłości, któremi tyś mnie obdarzył. Ty dziś zastąpiłeś mi świat cały!

Pochyliłam się ku niemu, a on objął mnie opiekuńczem swem ramieniem, na którem wsparta, czułam, że bezpiecznie iść mogę przez życie.

(Ciąg dalszy nastąpi).